MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XII. Nr. 29. WARSZAWA, 3 LIPCA 1932 R. CENA NUMERU 80 GR.

NIEBEZPIECZEŃSTWA ROZROSTU

DOTYCHCZAS panował powszechnie pogląd, że przyszłość należy do największych przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych. Uchodziło za pewnik, że w walce konkurencyjnej te olbrzymie przedsiębiorstwa muszą odnieść zwycięstwo nad mniejszemi.

Przedsiębiorstwo, posiadające większy kapitał zakładowy, potężniejsze urządzenia techniczne, kosztowne urządzenia, pozwalające na najdalej posunięty podział pracy i na najbardziej zmechanizowaną produkcję, miało rzekomo bezwzględną przewagę nad swoimi współzawodnikami. Technicy skierowali swoje wysiłki ku wynalezieniu maszyn i sposobów produkcji, któreby w jak największym stopniu pomnażały wytwórczość. W różnych dziedzinach przemysłu chemicznego i metalowego rozwiązano już zagadnienie w tym kierunku Nowe wynalazki pozwalają zastąpić istniejące fabryki daleko mniejszą ich ilością; jeden zakład przemysłowy, któryby zdobył się na urzeczywistnienie opracowanego pomysłu, mógłby wyprodukować w niektórych działach tyle, że z nadmiarem pokryłby zapotrzebowanie całego rynku państwowego.

Jednocześnie rozrastały się przedsiębiorstwa przemysłowe i handlowe w kierunku poziomym i pionowym. Wykupywano współzawodniczące fabryki lub większość akcyj pokrewnych przedsiębiorstw, fuzjonowały się banki. Towarzystwa akcyjne dążyły do tego, aby wszystkie fazy wytwórczości skupić w swoim ręku; zakłady metalurgiczne posiadają częstokroć własne kopalnie węgla, fabryki maszyn, stocznie okrętowe. Banki zgromadziły w swych portfelach akcje przedsiębiorstw przemysłowych, opanowując w ten sposób całe gałęzie produkcji, lub odwrotnie, wielkie zakłady przemysłowe dla swoich potrzeb finansowych zawładnęły bankami.

W wytwórczości rolniczej ekonomja stwierdziła t. zw. prawo zmniejszającego się przychodu. Polega ono na tem, że nowe nakłady w celu powiększenia produkcji w danem gospodarstwie nie dają proporcjonalnego wzrostu tej produkcji. Inwestycje w rolnictwie są korzystne tylko przy wzrastających cenach. W przemyśle jest inaczej. Tutaj inwestycje zmniejszały koszty produkcji.

Dopiero doświadczenia obecnego kryzysu rzucają inne światło na sprawę inwestycyj. Dopóki, wobec szybko wzrastającej pojemności rynków zbytu, przedsiębiorstwa przemysłowe mogły całkowicie wyzyskać swą możność produkcyjną, nakłady się opłacały. Ale położenie się zmienia, gdy rynek się kurczy. Wówczas kapitał stały, uwięziony w maszynach, w urządzeniach technicznych, nie może w pełni pracować. Nie przynosi on zysku odpowiedniego; jeżeli nakłady poczyniono z udzielonych kredytów, nie można z dochodów przedsiębiorstwa oprocentować pożyczki. W przedsiębiorstwach, w których stosunek kapitału stałego, uwięzionego, do kapitału obrotowego jest mniejszy, ograniczenie wytwórczości jest mniej katastrofalne. Jeżeli bowiem płace robotnicze stanowią znaczną część kosztów produkcji, to zmniejszenie produkcji mniej podraża własny koszt wyprodukowanej jednostki towaru, niż wówczas gdy na koszt towaru wpływają przedewszystkiem nakłady, poczynione na urządzenia techniczne. Liczbę zatrudnionych robotników można przystosować do zamówień, można obniżyć ich wynagrodzenie. Tego wyjścia nie mają największe, najbardziej nowocześnie wyposażone technicznie zakłady przemysłowe.

Okres niezwykłego rozwoju wytwórczości przemysłowej według wszelkiego prawdopodobieństwa został zamknięty obecnem przesileniem. Pod

wpływem ówczesnej pomyślności panowało przekonanie, że wszelkie inwestycje, pomnażające w sposób kolosalny produkcję, się opłacą, możliwości zbytu bowiem wydawały się nieograniczone. Dzisiaj, gdy trzeba liczyć się przedewszystkiem z ograniczonym popytem krajowym, gdy eksport napotykać będzie na coraz większe trudności, powstawanie zakładów o ogromnych kapitałach, ulokowanych w urządzeniach technicznych, których nie można wyzyskać, stanie się nieracjonalne. Adam Smith udowadniał znaczenie podziału pracy na słynnym przykładzie wyrobu szpilek, wykazując, jak dzięki temu podziałowi olbrzymio wzrasta produkcja. Ale jeżeli podział pracy tak „zracjonalizować", że produkcja przewyższy zapotrzebowanie, to nawet bez jej zmechanizowania, wynik tego postępu organizacyjnego będzie ujemny.

Ale i inne względy każą po najnowszych doświadczeniach inaczej oceniać znaczenie i przyszłość przedsiębiorstw, które rozrosły się ponad miarę. Chodzi o przedsiębiorstwa, które objęły rozmaite gałęzie przemysłu. Już samo kierowanie takiem przedsiębiorstwem, składającem się z najrozmaitszych zakładów, nastręcza ogromne trudności, często przerasta siły i zdolności kierowników. Nadzór nad niem staje się kosztowny i prowadzi do wytworzenia się biurokracji przemysłowej. A duch biurokratyzmu w działalności przemysłowej i handlowej ma skutki w wyższej mierze ujemne, niż w administracji państwowej. Zachwianie się jednego człona w przedsiębiorstwie o zbyt skomplikowanej strukturze może wstrząsnąć całą organizacją lub wywołać jego ruinę. Przykład afer Kreugera, który nie mógł wyplątać się z sytuacji, gdy poszczególne interesy zawiodły, i brnął z jednego nadużycia w drugie, jest bardzo pouczający.

Co więcej, bankructwo wielkiego koncernu staje się klęską społeczeństwa i polityczną. Bankructwo „*Kreditanstaltu*" w Wiedniu było katastrofą gospodarczą państwa austrjackiego. Aby zapobiec katastrofie państwo z funduszów, ściąganych ze społeczeństwa, uważa się za zmuszone ratować istnienie zagrożonych przedsiębiorstw, wkraczając na drogę niesłychanie niebezpieczną, jak to uczyniły Niemcy, przystępując do sanacji niewypłacalnych wielkich banków, zawikłanych w spekulacje grynderskie. Gdy wyrastają ogromne potęgi finansowe i przemysłowe, stają się one niebezpieczne w okresie swej pomyślności, bo usiłują podporządkować państwo swym egoistycznym interesom, a są również niebezpieczne, jak się okazuje, w chwili grożącego im krachu.

Ponadto te kolosy przemysłowe siłą rzeczy dążą do niepohamowanego rozrostu. Z jednej strony potentaci przemysłowi i finansowi, zgarniając znaczną część dochodu społecznego, który mogą skapitalizować, używają ten dochód na powiększenie nadmiernie rozszerzonych interesów. Z drugiej strony te właśnie przedsiębiorstwa imponując swą wielkością, najwięcej przyciągają drobnych oszczędności. Wprawdzie podkreśla się fakt, że koncentracja przemysłu nie oznacza koncentracji majątku, ponieważ w spółkach akcyjnych własność się demokratyzuje, należy do licznych rzesz akcjonarjuszów. Ale w rzeczywistości ci drobni akcjonarjusze są ofiarami reklamy i spekulacyj giełdowych, a wpływu na działalność przedsiębiorstwa nie posiadają. Władza, którą daje rozporządzanie kolosalnym majątkiem, koncentruje się w ręku kierownika spółki. A w tym niebezpiecznym przeroście przedsiębiorstw z kolei współdziałają potężne instytucje banków, które również gromadzą nieraz drobne oszczędności, ale popierają związane z bankami wielkie interesy.

Fakty ostatniej doby zmuszą do poddania rewizji poglądów na rolę ogromnych przedsiębiorstw i na rzekomo pożądaną lub nieuniknioną ich wyższość nad mniejszemi.

K. BOHOTYŃSKI

POTĘGA IDEI W WYCHOWANIU

MUSZĘ poświęcić kilka słów własnej osobie, spotkał mię bowiem niebywały zaszczyt. Na jednym z zebrań grupy, związanej z obecnym systemem, robiono gorzkie wymówki zebranemu tam nauczycielstwu, że nie umie „dobrać się" do młodzieży, która w przygniatającej większości wychodzi ze szkół średnich nastrojona całkiem niepomyślnie, a jako przykład podano mnie, który „urabiał generacje" i którego ślady (pewnie wielce niepożądane) do dziś się zaznaczają, choć przecie od lat nie działam na dawnym terenie pracy, a jeszcze dawniej opuściłem szkołę średnią.

Otóż przedewszystkiem uważam za obowiązek rozwiać legendę rzekomych moich zasług na tem polu, a dalej chcę podać parę uwag, czem zdobyłem zaufanie młodzieży może większe, niż wielu kolegów. Gdy przypatrzymy się klasie, którą prowadziłem jako gospodarz (opiekun) i kurator gminy szkolnej im. Łomnickiego, okazuje się, że przeważna większość zwłaszcza wśród wybitniejszych była odmiennie zorjentowana, byli oni aktywistami, niemal wszyscy należeli do POW, wielu z nich otrzymało niedawno medale walki o niepodległość przed zdobyciem wolności. Właściwie z wybitnych i czynnych organizacyjnie chyba tylko trzech na 25 nie ulegało nigdy urokowi Komendanta, jeden najstarszy w klasie wiekiem, drugi nader krytyczny, zimny, który nadto czas jakiś spędził zagranicą, trzeci wreszcie entuzjasta zachodu i Ententy. Oczywiście wiedzieliśmy wzajemnie o naszych przekonaniach, a przecie darzyliśmy się wzajemnem zaufaniem, a zwyczajnie nawet razem działali, jak zresztą mogliśmy zgodnie pracować z szeregiem kolegów odmiennych przekonań. A przyczyna ta, że obustronnie staraliśmy się odkryć i wyzyskać to, co nas łączy, a usunąć, a przynajmniej zmniejszyć, co nas dzieli. Świadectwo o tem wszystkiem mogłaby dać, o ile o tem jeszcze pamięta,

lwowska posłanka z klubu BBWR., która sama referowała o obronie, jaką wobec starszych miał uczeń 6 kl. z przekonania socjalista, śp. Roman Feldstein, wówczas jeszcze mojżeszowego wyznania.

Uważam, że głównym powodem, dlaczego uczniowie mimo zasadniczych różnic, darzyli mię i dziś darzą większem zaufaniem, to służba bezwzględna prawdzie. Nie zdarzyło się, bym kiedykolwiek, wobec kogokolwiek, posługiwał się nieprawdą i fałszem. Może to w związku z moim przyrodniczym umysłem wolałem mówić o faktach, niż legendach, a fakty, byle ściśle, szczerze i sumiennie podane mają niebywałą moc przekonania, kłamstwo zaś i obłuda mogą czasowo zwieść na manowce, ale budzą po zdemaskowaniu tem większą odrazę do oszusta. I znów nie jakaś wyrafinowana dyplomacja, jak niedawno głoszono, lecz ta szczerość i kult prawdy, była powodem, że ze mną jako referentem spraw młodzieży w Senacie Akademickim nie tylko chętnie rozmawiali kierownicy organizacji odmiennych ideowo (byle dobrze wychowani), ale nawet prosili o fotografję i aforyzm do ich czasopisma, co tak wzburzyło ich popleczników ze starszej generacji.

I nie trzeba się łudzić, by można fałszem wychować młodzież. Raczej legenda może się utrzymać, niż tendencyjna nieprawda, a tem bardziej kłamstwo z premedytacją. Dzisiejsza młodzież nawet w szkole średniej jest dość bystra i krytyczna by odróżnić prawdę od fałszu, źródła i świadectwa historyczne są zbyt liczne i wymowne, by można je na stałe zataić, a tem bardziej przefarbować. I jeśli dziś wprost z nakazu nie wolno mówić o pewnych faktach i pewnych ludziach, a przeinacza się i wyolbrzymia innych (czy oni tego potrzebują?), to nie dziw, że nie nawraca się nikogo głębiej myślącego, a co gorzej, podrywa zaufanie do polskiej szkoły, do państwowego nauczyciela.,. Czy osławiony Iłowajski nawrócił i przekonał kogokolwiek?

Że zaś dzisiaj ci peowiacy wśród moich uczniów niemal wszyscy nie tylko odwrócili się od „sanacji", ale się jej nieraz wybitnie przeciwstawiają, to znów inne przyczyny, to nie wpływ jednostki, ani jakaś wyrafinowana agitacja. Zmieniły się stosunki, zmienia świat, rodzą się nowe ideje, dawne się przeżyły lub przeżywają.

W czasie wielkiej wojny legjony podniosły fascynujące hasło niepodległości i czynnego boju o nią z wrogiem tradycyjnie uznanym za głównego, nawiązano do tradycji dawnych porywów. Ten czyn działał na uczucia, potęgowały go rozgrywające się na miejscu zdarzenia wielkiej wojny. Nie dziw, że porywał zapalną młodzież. O wiele trudniejsze było stanowisko przeciwnego obozu. Tu w kraju nie mógł rzucić hasła żadnego czynu, owszem zalecał bierny opór, bezwład, gdy wszystko wrzało i kotłowało wokoło. By zapanować nad uczuciem, dać przewagę rozumowi, trzeba było wielkiej dojrzałości umysłowej, opanowania porywów i namiętności, czego nie potrafiło wielu ze starszej generacji, a na co tem trudniej zdobyć się młodzieży zwłaszcza, że nie jesteśmy narodem kupieckim, jak Czesi, lecz bez względu na pochodzenie mamy krew rycerską w żyłach. I czyż nie jest ciekawe — zacieśniam się znów do kółka moich uczniów — że wśród generacji starszej, więc dojrzalszej, która już była na uniwersytecie, przewagę mieli „kartoflarze", a nawet i wśród tych, co wstąpili do legjonów nie było tego entuzjazmu, jak u młodszych. Nie można uważać, by był to jakiś wygodny oportunizm, niektórzy z nich w swej cichej pracy narażali się nie na bohaterską śmierć na polu chwały, lecz na sąd polowy i haniebny stryczek austrjacki lub pruski, a przynajmniej obóz w Thalerhofie. Zresztą tak potrzeba ukraińska, jak później bolszewicka dowiodły, że i oni mogą być rycerzami.

Tymczasem bieg wypadków przyniósł zasadnicze zmiany. Walka z caratem przestała być aktualna z chwilą jego upadku. Obłuda i wiarołomstwo Austrji i Niemiec, u boku których walczyły legjony, stawały się coraz przejrzystsze. Rozterka wstępuje w dusze młodzieży aktywistycznej, z mej klasy kilku najgorętszych postanawia w styczniu 1918 roku przedrzeć się do armji Dowbora Muśnickiego. Z trudem udało mi się ich powstrzymać argumentem, że będą potrzebni we Lwowie. Jeden z nich śp. Roman Hayder w rok potem rzeczywiście oddał życie w obronie Lwowa. W lutym zgodnie młodzież protestuje przeciw austrofilom, co pociąga krwawe ofiary i śmierć M. Czerkasa, zabitego przez Prusaków. Traktat brzeski dokonał reszty.

Wypadki w wolnej Polsce pogłębiły rozbrat między młodzieżą a dawną ideologją. Rozbrojenie odsieczy dla Lwowa w Lublinie, obojętność Warszawy i decydujących czynników w czasie krwawych zmagań z Ukraińcami, w czasie których jedynie Poznań pośpieszył z pomocą, acz sam znajdował się w opresji groźnej w przeciwieństwie do wolnej już stolicy, nie mogły pozostać bez wrażenia. „Dlaczego Dziadek nie jest nacjonalistą?" — żalił się przedemną jeden z jego entuzjastów pod wrażeniem wizyty lwowskiej Naczelnego Wodza.

A potem cała działalność w okresie pokoju. Zamach majowy, dokonany w imię hasła sanacji moralnej, wprowadził gdzieniegdzie małą dezorjentację, ale sama „sanacja" rychło postarała się o uświadomienie naiwnych swojemi metodami od nocnych napadów po Brześć II.

Zgasła dawna gwiazda, a nowej nie odszukaliście, bo jej nie chcecie widzieć. Dajcie spokój Bogu ducha winnym nauczycielom, nie oskarżajcie ich o nieudolność, o nieumiejętność zaszczepiania ideologji, gdy brak... idei. Osoba nie zastąpi idei, a bez idei nie wychowacie młodzieży. Z czemże do niej idziecie, co ją ma zapalić i porwać na wyżyny? Federacja, której nie chcą zainteresowane ludy, a która na wewnątrz objawia się w osłabieniu polskości i kultury łacińskiej na ziemiach wschodnich, a w forytowaniu elementów wrogich i czynników destrukcyjnych? Przyjaźń z Żydami, którzy wszędzie przeciw Polsce występują? Co więcej? Państwo? — bez określenia nawet, że to ma być Państwo Polskie?

Na zaszczyty i posady i synekury wiadomo, kogo się weźmie, a represje budzą tylko tem większą reakcję: każde usunięcie zasłużonego i wartościowego dyrektora, czy nauczyciela uświadamia niezdecydowanych wśród młodzieży i przysparza zwolenników obozowi narodowemu. Prześladowania hartują i wzmacniają, wiemy o tem z historji, niesprawiedliwe ofiary rodzą nienawiść.

Przewodnicząca komisji oświatowej w sejmie powiedziała, że obóz narodowy głosi hasła przebrzmiałej przeszłości, a ona reprezentuje świetlane jutro. Niechże przypomni sobie znane łacińskie przysłowie: „*Medice cura te ipsum*". Niech uleczy swe oczy i spojrzy na świat otaczający, a może zobaczy, gdzie przyszłość.

LUDWIK JAXA BYKOWSKI

BIOGRAFJA PUŁASKIEGO

ZASZCZYCONY przez Akademję naszą przysłaniem egzemplarza najnowszego dzieła prof. Konopczyńskiego[1]) do recenzji, o tę recenzję się jednak bynajmniej (na razie) nie kuszę. Dzieła Konopczyńskiego naogół nie czytają się łatwo: młodzieńcem przebiłem się przez gąszcz cytat w „Polsce siedmioletniej" tegoż autora, „zdusiłem centaury" jego niezwykłej erudycji; na emigracji szwajcarskiej — z dużo już większem zainteresowaniem — przeczytałem jego „Genezę Rady Nieustającej", skonstatowałem, że talent mego starszego kolegi z pod znaku *settecenta* mężnieje, prężnieje, wytrawnieje; dziś biorę do ręki jego „Pułaskiego", niby trzecie skrzydło pewnego tryptyku historycznego: lewe — to bezład, bezwład, Sasi, król-otylec, Brühl — wolnomularz; prawe — to rozbiór, hańba, król-Różokrzyżowiec, Sułkowscy, Młodziejowscy, Ponińscy, Braniccy, Massalscy, Mokronowscy, Twardowscy, Gurowscy — wszystkie odcienie podłoty, wszelkie przytem gradacje wtajemniczenia, a z tego chaosu, napozór nietwórczego, wyłania się jednak, zdrowym instynktem niepozbawionego i wtedy właściwych sobie zalet narodu, pęd ku naprawie, wcielony zrazu w plany i zarysy Rady Nieustającej, Nie włączam tu „Konarskiego", którego niestety nie poznałem tak dokładnie (jako pracy należącej poniekąd do dziedziny historjj literatury), a właśnie „Pułaski" jest w twórczości omawianego autora—czemś jakgdyby tamtego bliźniakiem: Konarski — *sapere ausus*, w walce z ciemnotą szlachecką, z makaronizowaniem wymowy, z masonerją; Pułaski — *pugnare ausus* — z obcą przemocą i z domowym rozkładem; jeden — mnich cichy a bojowy, drugi — rycerz Najświętszej Panienki, *cruce* czy *ense* walczący obaj o Polskę nową.

2. To, co daję dziś o „Pułaskim" czytelnikom „Myśli" niechaj posłuży tylko jako prosta zapowiedź (*annonce*). Nie po to zjechał bowiem niezmordowany wędrowiec Kliony archiwów pół kopy, niedarmo zbadał Berlin, Drezno, Paryż, Londyn, Moskwę, Petersburg, Sztokholm, Kopenhagę, bal nawet rzadko nawiedzany a suggestywny Marburg, a dalej: Warszawę, Wilno, Kraków, Lwów. Nieświeź, Kórnik, Suchę i Sławutę, ażeby — po łebkach — załatwiać się miał, specjalista choćby, z dziełem szacownem treścią, imponującem rozmiarami, niekryzysowem z pozorów (papier, ilustracje), z biografją jak się patrzy — w erze, gdzie móżdżkom czworaczkującej demokracji cadyki literackie typu Maurois'a czy Ludwiga przyrządzać zwykły pożywki z *biographies romancées* w opłatkach beletrystyczno-sensacyjnych.

To też, nie siląc się zgoła na pochłonięcie i ocenienie w przeciągu jednego (kryzysowego) tygodnia dwunastu rozdziałów nowego „eposu barskiego", powiem skromnie, czekając lepszych czasów i zachęcając czytelnika, wraz ze sobą, do głębszej i solidniejszej w dzieło introspekcji — co mnie na pierwszy rzut oka w tem dziele uderza: *annonce* nie recenzja, impresja, nie sprawozdanie.

3. A więc najpierw: ród, gniazdo, genealogja. „Ród to był — pisze Konopczyński — drobnoszlachecki, nawskroś koronny, katolicki..." Grały w nim szczytne tradycje rycerskie, jak owego Rafała, którego wymienia Niesiecki, co walczył pod Chocimem, mając w rocie swojej dziewięciu synów, jak dziada samegoż Kazimierzowego, Jakóba, co zginął pod Kaliszem, w walce z Moskalami.

Ojciec, Józef, „sensat w liście, w komplemencie polityk, humanista w dyskursie", palestrant, mecenas, finansista, wziął udział w pierwszej już konfederacji tego wieku w obronie wolności i wiary, która barską wyprzedziła o lat trzydzieści, jak rok 30-ty powstanie styczniowe, w dzikowskiej. Józef Pułaski był parlamentarzystą, zabierał w sejmach głos w momentach przełomowych: w roku 1744 żądał „oddania pod sąd trzech stanów tych posłów, co za judaszowe prusko-francuskie pieniądze grzebali wraz z sejmem nasze plany zbrojeń". Nadewszystko był jednak stary Pułaski ekonomistą, ratował skarb kilkudziesięciu przemówieniami na sejmie „Boni Ordinis" 1748 r. i przyciskał do muru słynnego z nadużyć, niedbalstwa i konszachtów z żydami podskarbiego Sedlnickiego. Był dalej pan Józef „zbieraczem", jak mawiało się wtedy, *recte* groszorobem niebylejakiej próby: „nie zaniedbywał żadnej sposobności, by coś zaokrąglić, coś dokupić, inkorporować, zyskać cesję, przejąć pretensje, zasiedzieć posesję". „Wsi 108 i miasteczek 14"— oto bilans terytorjalny tych adwokackich zabiegów „u schyłku karjery, u progu posłannictwa", jak z lekką złośliwością określa go Konopczyński, *ante confoederationem natam*.

I był pan Józef także, jak bywają takie Lewjatany zysku, zrazu kategorycznym oportunistą. Od Sasa chadzał do Lasa, od Gryfa przez Pogoń do Pilawy. Nie zapomną mu tych łamańców współcześni: jeszcze w czasie Baru pisać o nim będzie cytowany przez Konopczyńskiego kawaler de Taullés:

> *„Attaché pendant plusieurs années comme secrétaire au grand maréchal Bieliński, il l'abandonne pour s'attacher aux Czartoryski qu'il a abandonnés de même et il est accusé de ne s'être donné des maîtres que pour les trahir."*

Echem tych potępień stanie się również Stanisław-August, którego styl, zwykle gładki, jak tafla szklana, burzy się mocno na wzmiankę o panu Józefie:

> „Jednym z ludzi przewrotnych, — pisze król — co przyczynili się wtedy do nieszczęścia swojej ojczyzny, był niejaki Pułaski, starosta warecki. Adwokat w służbie Czartoryskich, opuścił ich w roku 1754, kiedy to August III cofnął im swoją łaskę. Pogardzony przez nich, przerzucił się jako klient do obozu ich przeciwników, uczestnicząc w konfederacji radomskiej i, podobnie jak szefowie wiadomej fakcji, został zwiedziony nadzieją detronizacji królewskiej. Po porwaniu czterech posłów w roku 1767 (w staroście wareckim obudziły się wtedy oczywiście instynkta parlamentarne — przyp. aut. art), wyobraził sobie, że jest wielką figurą, co potrafi wyrzutami zaimponować Repninowi. Użył więc względem ambasadora tonu, który jako odpowiedź wywołał ze strony księcia kopnięcie i wyrzucenie z pokoju..."

Wysoce stronna i zgoła zapieniona gniewem relacja króla Jegomości nie zmienia faktu, że najsłynniejszy polski partyzant był synem notorycznego w Polsce kauzyperdy.

4. „Kazio Pułaski (drugi z trzech synów starosty wareckiego, urodzony 4 marca 1747 r. w Winiarach

---

[1]) Konopczyński Władysław: „Kazimierz Pułaski." Życiorys. Z 14 ilustracjami. Kraków. Akademja Umiejętności, 1931, str. XII i 420.

na Mazowszu) nie skończył najprawdopodobniej — pisze o nim biograf — żadnego systematycznego kursu (u Teatynów w Warszawie, gdzie zrazu studjował) skoro najpóźniej w roku 1762 został paziem królewicza Karola”... Niebezpieczny to był patronat: Karol-Chrystjan-Józef, książę Kurlandji i Semigalji, niespełna wówczas trzydziestoletni przyszły małżonek Franciszki Krasińskiej, ładny, miły, ale trzpiotowaty polonofil, był wszakże zarazem gorliwym adeptem masonerji[1]). Sześć miesięcy spędził Pułaski, zamknięty ze swoim protektorem w oblężonej przez Rosjan Mitawie — to był czternastoletnich służb jego obozowych początek. „Nie wahamy się — dodaje p. Konopczyński — w przeżyciach Polaków na straconym posterunku kurlandzkim 1763 r. widzieć etapu, wiodącego do przeżyć warszawskich i barskich 1767/8 r. Wtedy to w obliczu znieważonego (w osobie królewicza Karola) majestatu Polski, zbudził się w paziu przyszły żołnierz...”

5. Przez oportunizm jedzie (starosta warecki — ojciec) na elekcję Poniatowskiego i podpisuje ją z trzema synami. Na sejmy „arcyszelma” (wyrażenie o nim Michała Czartoryskiego) nie posłuje, do reform Czartoryskich ręki nie przykłada, przeciwnie, zżyma się na najśmielszą reformę władzy hetmańskiej, t. j. na ustanowienie Komisji Wojskowej... Dał się wybrać konsyljarzem do Generalności radomskiej i podpisał ją zaraz pierwszego dnia ze zwykłą „salwą” na rzecz wiary katolickiej... Jako jurysta, usiłował Pułaski dowieść nieważności ustaw konwokacji wobec ważności protestu Mokronowskiego... Lecz... przychodziło „wytrzeźwienie.” W ciągu lata 1767 r. zachodzi wspomniany epizod z Repninem, spaczony przez niechętnego staroście Stanisława Augusta. Pułaski woła wtedy do Repnina: „Naród wolny, obywatele gorliwi przy wierze i wolności, przyjdą do tej odwagi i desperacji, że za wiarę i wolność krew lać i życie łożyć wszyscy (będą) gotowi”. Nie było kopnięcia, nieżyczliwy również, jak widzieliśmy, staroście Taullés, maluje epilog tej sceny:

„l'ambassadeur, le prenant par le bras et le secouan rudement, le chassa de chez lui“.

Sanabiles fecit Deus nationes! W tych przełomowych dniach letnich rośnie pan starosta; choć niemłody, bo już 63-letni, dwoi się i mężnieje stosownie do wzniosłości nowych swoich celów i działa tak może pod młodszym wpływem swoich synów, bo sam błąka się jeszcze i obija pomiędzy ścianami dawnych swoich druhów i protektorów: koresponduje ze „szyszkami” naszej masonerji: Mokronowskim czy Mniszchem, u nich zaradczych szukając środków, puka do marnych przeżytków gasnącego świata, jak Klemens Branicki czy Salezy Potocki, dyzgustuje się Radziwiłłem, a nie zapomina też o bawiącym w Polsce pośle tatarskim.

To są tragiczne przedświty Baru. „Starosta warecki mieszka podtenczas w pałacu Sołtyka... i pośredniczy między nim a biskupem kamienieckim Krasińskim”. Wtem pada grom w postaci wywiezienia senatorów. Ten grom staje się dlań zarazem błyskawicą. Rozświetlając mroki epoki saskiej, rozświetlając postać Sołtyka, reflektuje on do reszty i Pułaskiego. W połowie grudnia 1767 r. opuszcza starosta Warszawę, w której dotąd wikłał się i błądził i wraz z trzema synami-młokosami jedzie najpierw do posiadłości swej mazowieckiej, dotknąć się niejako przed czynem zbrojnym matki-ziemi, potem zaś na odleglejsze Podole. *Obiit Gustavus*, rodzi się konfederacja.

6. Nie tu miejsce, niestety! analizować dokładnie na podstawie dzieła p. Konopczyńskiego *fasti* konfederacji barskiej, której, jak wiadomo skądinąd, autor osobną zresztą poświęcić zamierza monografję. Jasno wszakże rysuje się już na podstawie „Pułaskiego“ charakter religijny konfederacji, która postanawia „wiary św. katolickiej rzymskiej własnem życiem i krwią... bronić“, która używa symboli, godeł i haseł natury religijnej, która obwarowywuje się ekskluzywnością wyznaniową. Wyraźnie się też rysują, posępny przecie cień rzucając na konfederację, niezgody pomiędzy jej przywódcami: Pułaskimi, Potockimi i t. d., rejestrowane są dalej przez autora upadki i cnoty Pułaszczyków, jak ten akt konfederacji, poprzedzający boje pana Kazimierza w Okopach św. Trójcy. Nadmienić zaś wkońcu wypada, że dla rozświetlenia bojów konfederackich prowadził autor także studja „w terenie“, na szlakach wypraw Pułaskiego, że mianowicie odbył wycieczki terenoznawcze do Częstochowy, Tyńca, Lanckorony, Okopów, Izb, Zamościa, Skaryszewa i Iłży.

7. Rozterki pomiędzy konfederatami dużo stosunkowo w przedstawieniu p. Konopczyńskiego zajmują miejsca:

„Pułascy, — pisał tak jeden z najcelniejszych przewódców konfederacji, biskup kamieniecki Adam Krasiński — wszyscy wraz z liczby potępieńców, czarci z nimi sprawę mają... Kto się tylko z tymi łączyć będzie, zostanie na sądzie ostatecznym wyłączony na lewicę i skazany będzie na ogień wieczny i nawet cnotliwy z nimi gdyby się zjednoczył, jest zewszechmiar niebezpieczny, niechże się broni!“

Ci wszyscy w czambuł z biskupem wileńskim Massalskim, to nic innego nie było — wedle Krasińskiego — jak „sekta farmazonji warszawskiej“. Biograf maluje starannie niechętne Pułaskim środowisko wielkopańskie z takim Mniszchem na czele, „czarną purchawką, nadętą nicością, królem-duchem konfederacji radomskiej“ i grono dam, jedną od drugiej namiętniejszą, do których wszystkich nie znajdzie dostępu Pułaski, „zawsze hardy, niezależny i przez to podejrzany“. Pozwolę sobie jednak wątpić, czy świetny partyzant okazywał się szczęśliwy w doborze sprzymierzeńców politycznych, zbliżając się np. do takiego Mostowskiego, który z czasem fatalną odegra rolę w przededniu porwania króla, lub do gorszego jeszcze od tego, a „bliskiego sercem Pułaskiemu“ Marcina Lubomirskiego. Ostro go też krytykował inny wybitny przywódca konfederacji Michał Pac w liście do Krasińskiego:

„Dzikie sobie formuje urazy, — pisał mianowicie Pac o Pułaskim — nie wiedzieć za co... Podoba mu się, jak widzę, independencja, a to jest najgorszem złem w kraju naszym: każdy rządzić chce, a mało jest, coby karku chciał uchylić pod rząd.“

8. Ciekawsze i bardziej podnoszące ducha są inne szczegóły militarnej raczej natury, wydobyte przez Konopczynskiego. Jakżeż ciekawy jest np. opis spotkania Drewicza z Pułaskim, „dem Helden Pułaski“, którego przeciwnik rosyjski chciał osobiście poznać i do którego przyjechał też bez żad-

[1]) Czy do masonerji wstąpił Karol istotnie dopiero w roku 1772 jak podaje *„Allgemeines Handbuch der Freimaurerei“* (Lipsk 1901) II, 284, wątpić się godzi wobec pewnych odmiennych wskazówek w pamiętnikach Heykinga.

nej asysty, do Cygielki podkarpackiej, dalej zaś opis przybycia do obozu konfederackiego niepokaźnego, kusego, zadzierzystego, nerwowego Dumourieza, który nazywał żołnierzy Pułaskiego „bandytami“, jego zaś samego „*un téméraire dont on ne peut tirer aucun parti pour un plan régulier*“; dalej szczegóły oblężenia Częstochowy przez Drewicza, który „srożył się na błazeńską fortecę“ niczem drugi Müller i który „koniec końcem... przyzna się, że mu braknie tchu i pod murami Jasnej Góry roztrwoni swoje wawrzyny“. „Zwodzonym tańcem“ nazywa historyk partyzantkę Pułaskiego z Drewiczem, która, zawadzając o różne kąty województw krakowskiego, sandomierskiego, sieradzkiego i łęczyckiego, dotrze aż pod Poznań.

9. Drugie wyzwolenie Częstochowy — jak słusznie podnosi Konopczyński — dało dopiero naprawdę Pułaskiemu sławę.

„W pamięci Polaków — pisze jego biograf — imię Pułaskiego stanęło odtąd obok imion Zawiszy i Czarnieckiego... Generalność (rząd narodowy konfederacki) nie pominie żadnego listu, by nie pochwalić w superlatywach „najzasłużeńszego“ marszałka... („toż męstwo, też niebezpieczeństw wzgardę, — pisze doń dla odmiany cytowany już wyżej przez nas Pac — przezorność w rozrządzaniu, odwagę w dopełnianiu, zabieg na przyszłe wypadki, czułość na wszystko dałeś widzieć w dzielnej i chwalebnej fortecy Jasnogórskiej obronie...“

I cieszyła się pieśń konfederacka, nucąc:

„Od bram Częstochowy
Zagrzmiały podkowy,
Ho ho, teraz, panie Drewicz
Nie uniesiesz głowy“.

10. „Nie okaże się jednak Częstochowa — dodaje zaraz Konopczyński — punktem zwrotnym w wojnie o niepodległość, jak za Jana-Kazimierza“. Wyniknęły bowiem nowe znowu scysje pomiędzy wodzami. Ale mimo tych scysyj broń konfederacka świeżą znowu okrywała się chwałą, jak np. w świetnym dniu Lanckorony, kiedy to, dzięki współpracy oficerów francuskich i polsko-cudzoziemskiej piechoty ze szkoły Dumourieza utracił Suworow prawie wszystkich swoich oficerów. Ale fatalna niezgoda robiła przecie swoje:

„O Boże, — wołał Krasiński — cóż za nieszczęśliwa ta ojczyzna, że nie można zrobić w niej konfederacji i jedności!“

Na tle wspomnianych niezgód jaskrawo występuje końcowa dla konfederacji perypetja porwania króla.

„Nie daje W. Panu żadnych poleceń, — mówił Pułaski do Strawińskiego przed zamachem — ale uprzedzam, że tylko pod tym warunkiem zaaprobuję Twój zamysł, nawet po wykonaniu, jeśli oszczędzisz życie jeńca“.

To też niebawem mógł rozżalony Stanisław-August rozgłaszać po Europie „rzekomy zamach Pułaskiego na jego życie, dając odczuć zagranicznym poplecznikom konfederacji, że ich uważa za współwinnych: nuncjuszowi (Duriniemu), składającemu kondolencje, przypomni, że to on błogosławił na Jasnej Górze młodego bohatera — kierownika zbrodni“.

11. I taki był koniec właściwy karjery polskiej Pułaskiego. Przedzierał się on teraz, pod przybranem nazwiskiem Rudzińskiego, a w towarzystwie Aleksandra Lubomirskiego, młodego pułkownika armji francuskiej, do Paryża. Nie mógł się jednak republikanin-zamachowiec podobać w monarchistycznej Francji. Potępiali go właściwi regaliści, potępiali nawet sami konfederaci: wyklęty był tak przez obcych jak opuszczony przez swoich: i tak kierownicy Baru pominą go całkiem na liście emigrantów przedstawionej premjerowi francuskiemu d'Aiguillonowi przy prośbie o zapomogi. Wyrok zaś sądu marszałkowskiego zapadł bezlitosny:

„Ponieważ... bezecni Kazimierz Pułaski, Stanisław Strawiński i Walenty Łukawski powinni być nietylko pozbawieni honorów i czci, lecz i ciała ich jako narzędzia sromotnej zbrodni okrutnym karom poddane być muszą, przeto, chociaż za tak wielką zbrodnię na kary o wiele większe i surowsze zasłużyli, za wstawieniem się Królewskiego Majestatu u naszego sądu, skazujemy (ich).. na karę śmierci przez ścięcie. Ręce przy drogach publicznych i po niejakim czasie spalone, ciało zaś zaraz po ścięciu rozćwiartowane, spalone i na wiatr rozwiane“.

12. Zaczęła się dalsza tułaczka świetnego partyzanta. Ruszył więc najpierw Pułaski do armji wielkiego wezyra, jako jednego z najwierniejszych sprzymierzeńców „Lechistanu“. Związał się znowu nieszczęśliwie z księciem Panie-Kochanku i gorszym bodaj od tamtego Szymonem Kossakowskim, którego „nie inny (był...) zamysł, tylko przyjąć służbę u Porty i tam rekrutować wojsko z Serbów, Armenianów, Bułgarów, Greków-katolików, Tatarów i z nimi wkroczyć do Polski na ratunek dość nieszczęśliwej ojczyzny“. Obaj — Pułaski i Kossakowski — wsiedli w Wenecji na okręt jadący do Raguzy, skąd Pułaski ruszyć miał dalej na Bałkany. Ale napróżno! I te kombinacje wojenne-dyplomatyczne się rozchwiały. „Dziedzic wielu miasteczek i dziesiątków wsi poczuł się (teraz) ściganym zwierzem, niewypłacalnym (i istotnie zamkniętym później w Marsylji do więzienia za długi) dłużnikiem, bez jutra, bez stosunków, na gruzach dalszej sławy“.

Pozostawała Ameryka. Wrócił Pułaski do Paryża, tam zaś Franklin dał mu następujący list polecający do Waszyngtonu:

„Hr. Pułaski z Polski, oficer słynny w Europie z odwagi i postępowania swojego podczas obrony wolności kraju przeciwko trzem potęgom Rosji, Austrji i Prus, będzie miał zaszczyt doręczyć Panu ten list...“

I nadeszła godzina dwunasta żywota pana Kazimierza. Podążył on do głównej kwatery Waszyngtona. „*Count de Korwin Pułaski*“ przywiózł mu w zanadrzu parę oryginalnych pomysłów strategiczno-taktycznych, poczem udał się natychmiast do armji, gdzie otrzymał nominację na generała (później zaś generalnego inspektora) kawalerji. Stanął wreszcie na czele niezależnego legjonu i jako dowódca tegoż runął z konia ranny pod Savannah. Padł z okrzykiem na ustach „Jezus Marja“, żegnając bitwę hasłem Kawalerów Krzyża św. Ciało jego rzucono do Atlantyku.

„W dwanaście rozdziałów — konkluduje p. Konopczyński — ułożyło nam się życie Kazimierza Pułaskiego, a każdy, z wyjątkiem jednego, tryumfalnego, którego treścią Częstochowa, kończy się odgłosem topora przeznaczeń... Między klęskami trudy i utrapienia bez miary. Współczesny sąd ludzki o tych trudach bardzo rozdwojony, częstokroć ujemny .. A jednak odbył Pułaski w Polsce pięć kompanij. Ma na liście służby obronę czterech twierdz: Berdyczowa: Okopów, Wysowej, Jasnej Góry; pięć ataków na umocnione miasta: Lwów, Kraków, Poznań, Kraśnik, Zamość. Dwadzieścia kilka bitew w polu otwartem.. Był pierwszym legjonistą, gdy wytrwale formował zagranicą oddziały partyzanckie i z ziemi wołoskiej czy węgierskiej czy pod koniec tureckiej... do ziemi polskiej się przedzierał... Był pierwszym (polskim) szermierzem wolności ludów.,.“

KAZIMIERZ MARJAN MORAWSKI

ZMIERZCH IZRAELA

PIERWSZE wrażenie odniesione przy studjowaniu pokaźnego tomu pod tym tytułem jest uczuciem oszołomienia i zdumienia: jakże mało wiedzieliśmy dotąd o żydach!

Książkę Rolickiego czyta się, jak fantastyczną powieść. Historja trzech tysięcy lat jawi się przed nami w zupełnie nowem świetle, patrzymy na nie innemi oczami, zaczynamy rozumieć rzeczy dawniej niezrozumiałe...

Chwilami przychodzą wątpliwości, tak nie prawdopodobnie brzmią niektóre twierdzenia tej książki... Ale natychmiast, o kilka wierszy niżej znajdujemy dane, fakty, cytaty, które nasze wątpliwości rozpraszają, tak, że ogólny obraz powstaje w końcu bez zastrzeżeń.

Dzieło jest owocem olbrzymiej, niemal gigantycznej pracy. Na 420 stronicach zamknął autor dzieje żydów od czasów Mojżesza aż do chwili obecnej. Porusza dzieje żydów w okresie hegemonji Egiptu i państw doliny Eufratu, w czasach perskich, w państwach Djadochów, wreszcie w cesarstwie rzymskiem. Tu dotyka sprawy stosunku żydów do Rzymu a później do chrześcijaństwa, ich udział w wielkich herezjach, stosunek do barbarzyńców, stosunek do Islamu. Dalej wkraczamy z autorem w pełne średniowiecze z jego bujnemi dziejami, dramatycznemi walkami, w których żydzi odgrywają niarzadko rolę sprężyn, wreszcie dochodzimy do czasów renesansu, czyli do okresu mnożenia się wpływów Izraela oraz zmiany zasadniczej jego podstawy geograficznej, która z Hiszpanji przesuwa się do Turcji, Niemiec i Polski.

Tu wkracza autor w stosunki polskie, gdzie hojną dłonią roztacza przed czytelnikiem istne skarby rewelacyj w szczególności z okresu Potopu szwedzkiego. Ale i to również, co podaje o stosunkach niemieckich w XVI i XVII, o Holandji, Anglji, Turcji, zdumiewa ilością zupełnie nowych faktów i oświetleń.

Omawia autor oczywiście również wewnętrzne przemiany w żydostwie, zmieniający się w ciągu wieków stosunek Kabały do Talmudu, działalność wielkich reformatorów, wreszcie przechodzi do wieku XVIII, gdzie wkracza w zagadnienie masonerji i roli żydostwa w jej utworzeniu. Stąd prosta droga do rewolucji francuskiej, do rozbiorów Polski, i do wieku XIX.

Śledzimy wraz z autorem okres napoleoński, powstanie 1830 r., Wiosnę ludów, rok 1863 i dochodzimy do wojny światowej.

Wreszcie przestudjować możemy ruchy społeczne przełomu XIX i XY wieku jak socjalizm, sjonizm, bolszewizm. Kończą niezmiernie ciekawe rozdziały o kryzysie duchowym i gospodarczym żydostwa i o przewidywaniach na przyszłość.

To sumarycznie przedstawiona treść dzieła p. Rolickiego, które stanowi słup graniczny w naszym żydoznawstwie, epokę w dziejach naszej walki z żydami.

Temat tego rodzaju i takich rozmiarów został skondensowany na 420 stronach. Zdajemy sobie sprawę z tego, że tylko względy praktyczne skłoniły p. Rolickiego do tak zwięzłego ujęcia. Na każdym kroku widać pasowanie się autora z tematem, gwałtowne wtłaczanie w ramy jednego tomu tego, co bez rozszerzania źródeł i dodatkowych studjów wystarczyłoby na kilkanaście woluminów in folio. Możliwości wydawnicze i poczucie potrzeby takiej książki już teraz, stały się zapewne powodem tej bardzo zresztą szczęśliwie przeprowadzonej kompresji.

Zmusiła ona autora do oryginalnego sposobu pisania, a mianowicie do masowego zastępowania własnych zdań przez cytaty, do techniki, że się tak wyrażę mozajkowej ze wszystkiemi jej wadami i zaletami. Daje to niewątpliwie pewną jednoplanowość i brak perspektywy. Żydzi są wszędzie na pierwszym planie, co zresztą jest zrozumiałe w książce o żydach, ale, być może, u mniej politycznie wyrobionego czytelnika, wywoła przerażenie: czy istotnie żydzi odegrali taką rolę w historji?.. Czy istotnie byli sprężyną (a może nawet przyczyną) islamizmu, reformacji, Potopu szwedzkiego, rozbiorów Polski, rewolucji francuskiej, wielkiej wojny?

Błąd taki byłby zupełnie naturalny. Pożądaneby też było, aby autor w drugiem wydaniu, które zapewne niebawem zastąpi wyczerpane pierwsze wyjaśnił w przedmowie czytelnikowi, że żydzi byli jednym z ważnych czynników różnych potężnych zjawisk dziejowych, lecz nie byli czynnikiem jedynym. Natomiast niezwykle trafne jest podkreślenie autora, że wszędzie i zawsze żydzi byli czynnikiem destrukcyjnym i że nawet ruchy przez nich popierane, ba, tworzone, rychło w zrozumieniu tej prawdy zwracają się przeciwko nim całkowicie lub częściowo.

W niektórych miejscach buduje p. Rolicki syntezy zbyt śmiałe, wogóle jednak książka pisana jest z troską o wierne i nieprzejaskrawione oddanie rzeczywistości, dalekie od wszelkiej t. zw. „judenhecy". O umiarze i ostrożności autora świadczy pominięcie przez niego, niewątpliwie świadome, dwóch zagadnień, niezwykle ważnych, ale trudnych do dokumentarycznego udowodnienia: autentyczności t. zw. protokułów mędrców Sjonu oraz prawdziwości oskarżeń o mord rytualny. W pierwszej sprawie oświadcza p. Rolicki wprost, że głosu zabierać nie zamierza. Również o sprawie mordu rytualnego, tak pasjonującego świat przez stulecia (i to nietylko prostaczków) wspomina raz tylko, nie wypowiadając swego zdania, choć miał z pewnością materjał b. obfity, nie ograniczający się do sprawy Bejlisa. Nawiasem mówiąc ciekawy na ten temat szczegół przynosi Brücker w trzecim tomie „Dziejów Kultury Polskiej", gdzie pisząc o biskupie J. Załuskim, obdarzonym „erudycją nadzwyczajną, zbiorami olbrzymiemi, inicjatywą niezmordowaną", określając go jako „najzasłużeńszego literata czasów saskich", znającego jedenaście języków, dodaje: „Równie czynnego (i jako duszpasterza) dzieje nasze dawne rzadko zapisały; hart duszy wielki na wygnaniu w Kałudze wykazał; a był i fanatykiem, ale głównie szperaczem niestrudzonym; zebrał np. 70 faktów rytulnego morderstwa, chociaż przyznawał, że Talmud go ani zna, ani zaleca, że się z kultem starozakonnym wcale nie zgadza". (Czy nie zaleca go Kabała, tego Załuski wiedzieć nie mógł, a i dziś jeszcze kwestja wyświetlona nie jest, mimo dużego *dossier* wyroków skazujących za te zbrodnie w różnych wiekach i krajach).

[1]) Henryk Rolicki. Zmierzch Izraela. Warszawa 1932. Str. 420. Cena 10 zł.

Ogromną zasługą „Zmierzchu Izrala“ jest wniknięcie bystrym wzrokiem wgłąb spraw wewnętrznych żydostwa. Po raz pierwszy w polskiej literaturze, która nie rozróżnia nawet cadyka od rabina oświetlono stosunek Kabały do Talmudu, zanalizowano takie ruchy społeczne, jak chasydyzm, czy frankizm, przedstawiono z zadziwiającą plastyką postacie wielkich reformatorów, jak: Majmonides, Sabbataj Cwi, Mendelsohn, Frank, Herzl. Gąszcz bujnego życia żydowskiego, jego starannie dotąd przez badaczy omijane mateczniki zaczynają być dla nas dostępne dzięki książce p. Rolickiego. Niejedna zaś zagadka dziejów polskich i nietylko polskich w tych matecznikach kryje swe rozwiązanie.

Za najlepszy z całej książki trzeba uznać rozdział o Franku. Z dokumentami w ręku, z żelazną logiką, krok za krokiem demaskuje autor ten tajemniczy ruch i wykazuje jego złowrogi wpływ na losy Polski. Wrażenie wywodów autora jest wprost wstrząsające. Ciekawą będzie rzeczą, czy prasa żydowska, jak dotąd wymownie milcząca o „Zmierzchu Izraela“, odważy się wdać w polemikę na temat frankizmu.

Należy mieć nadzieję, że z biegiem czasu każdy rozdział książki p. Rolickiego opracowany zostanie w rozmiarach oddzielnego tomu; autora stać na to, co widać wyraźnie przy lekturze „Zmierzchu Izraela“.

Sam tytuł książki budzi pewne nieporozumienie. Przez trzy czwarte tomu śledzimy bowiem wzrost wpływów Izraela, zaledwie zaś trzy rozdziały końcowe mówią o jego zmierzchu. Mimo to dobrze się stało, że autor nie uląkł się tej pewnej dysproporcji. Książka jego bowiem rozbija dwie suggestje, podsuwane przez żydów społeczeństwom aryjskim: pierwszą jest twierdzenie, że żydzi większej roli w historji nie odgrywali, że byli zawsze nieszczęśliwym, prześladowanym narodem, drugą, w istocie z pierwszą sprzeczną, teza, że żydzi są dzisiaj potęgą niezwalczoną, z którą niesposób się mierzyć. To drugie przekonanie podważa autor gruntownie w końcowych rozdziałach swej pracy; temu właśnie dał wyraz w tytule.

Na zakończenie drobiazg: W rozdziale o wieku XIII wkradł się błąd, a raczej omyłka w nazwisku. Filozof Duns Scotus nie miał przydomku Eringena, nazwy filozofa z IX w. Jana Scota Eringeny. Przy okazji ciekawą rzeczą będzie przypomnienie, że Duns Scotus był zdecydowanym antysemitą, oczywiście w duchu średniowiecznym, t. zn., że był zwolennikiem przymusowego ich chrztu lub wygnania.

Tyle uwag nad książką p. Rolickiego. Dokładna recenzja rozrosłaby się sama do rozmiarów broszury, tyle tematów i zagadnień należałoby w niej poruszyć. Niniejsza recenzja nie ma na celu zastąpienie czytelnikowi przeczytania „Zmierzchu Izraela“. Wręcz przeciwnie: z całym naciskiem należy podkreślić, że znajomość książki Rolickiego jest obowiązkiem świadomego członka społeczeństwa polskiego, niezbędną od dzisiaj legitymacją do zabierania głosu gdziekolwiek i kiedykolwiek na temat kwestji żydowskiej.

ANDRZEJ WITOWSKI

Z ŻYCIA UMYSŁOWEGO ŚLĄSKA

(ROCZNIKI TOW. PRZYJACIÓŁ NAUK NA ŚLĄSKU I — III).

WŁAŚNIE ukazał się III tom Roczników Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku w Katowicach za rok 1931. Korzystam z tej sposobności, aby zwrócić uwagę ogółu polskiego na nierozgłośną, lecz pożyteczną pracę tej instytucji. Od r. 1892 istniało w Bytomiu Górnośląskie Towarzystwo Literackie, które posiadało znaczną bibljotekę, powstałą z darów po zwiniętej bibljotece polskiej w Jassach i po takiej samej bibljotece w Wiedniu. Towarzystwo to miewało okresy ruchliwości i zasługi dość nawet częste, poczem przekształciło się w r. 1920 w Tow. Przyjaciół Nauk, przeniesione po rozstrzygnięciu Rady Ambasadorów w sprawie podziału Górnego Śląska do Katowic. Lecz nowa siedziba nie przyczyniła się do ożywienia działalności Tow., wszystko rozbijało się o brak lokalu, bibljoteka mieściła się nierozpakowana kątem w różnych miejscach, aż wreszcie Wydział Powiatowy w Katowicach przyznał w r. 1927 trzy pokoje w swoim budynku (ul. Piłsudskiego 49 I p.).

Tu wreszcie można było udostępnić bibljotekę pracownikom naukowym (liczy ona około 20.000 tomów) i przystąpić do wydawnictw. Zajął się tem nowy zarząd, na którego czele stanęli ofiarni i niestrudzeni: ks. prałat dr. E. Szramek, jako prezes i dr. W. Olszewicz, jako wiceprezes. Jedna rzecz pozostała tylko po staremu t. j. brak środków materjalnych. Subwencje otrzymało Towarzystwo tylko od Sejmu Śląskiego i 2 Wydziałów Powiatowych t. j. w Katowicach i Świętochłowicach. Dary osób prywatnych ograniczały się przeważnie do książek, jedynie tylko ś. p. Wiktorja Niegolewska zapisała Towarzystwu kamienicę w Lublińcu.

Wydajność pracy wystąpi dokładnej, jeżeli zaznaczymy, że dochody Towarzystwa w ciągu ostatnich lat wyniosły okrągło 58.000 zł., że zato, utrzymywano bibljotekę i wydawano Roczniki. Na inne wydawnictwa udawało się uzyskać subwencje, pokrywające bądź częściowo bądź w całości koszty, czy to od instytucyj publicznych, czy od osób prywatnych. Liczba członków wzrastała również wolno tak, że jest ich obecnie niewiele ponad stu, Nic dziwnego, że historjograf Tow. J. Łuka, skarży się: „Żadne Województwo rdzennie polskie nie leży pod względem kulturalno-naukowym tak smutnym odłogiem jak właśnie Województwo Śląskie“. Wprawdzie od r. 1929, w którym te słowa napisano, nastąpiła znaczna poprawa, którą należy zapisać przedewszystkiem na dobro Tow. Przyjaciół Nauk, ale jeszcze wiele pozostaje do zrobienia głównie zaś w kierunku finansowym.

A jednak mimo tak niewdzięcznych warunków, Towarzystwo rozwija od lat 3 żywą działalność: współpracuje jako śląska komisja w zamierzonem nowem wydaniu Słownika Geograficznego Państwa Polskiego i w przygotowywanem przez Pol. Akad. Um. wydawnictwie Polskiego Słownika biograficznego, pomaga w wydaniu przez tę Akademję Pieśni ludowych z Polskiego Śląska, których tom I się ukazał przed 2 laty, a druk II-go przerwano na ark. 25 z braku funduszów, ma dwa wła-

sne wydawnictwa seryjne t. j. 1) Fontes, z których wyszedł t. I zawierający łacińską kronikę domu Jezuitów w Piekarach Śl., i 2) Monografje, z których również wyszedł t. I, obejmujący zbiorową, obszerną monografję powiatu świętochłowickiego, a gotów do druku jest t. II z pracą K. Prusa: Z przeszłości m. Mikołowa.

Głównem wszakże wydawnictwem są Roczniki Tow. Przyjaciół Nauk na Śląsku, dotychczas 3 tomy: I z 1929 r. o 298 str., II z 1930 o 422 str. i III z 1931 r. 472 str. Każdy tom rozpada się na 4 działy: 1) rozprawy i materjały naukowe, 2) wspomnienia pośmiertne, 3) sprawozdania i rozbiory, 4) z życia umysłowego Śląska.

W dziale pierwszym ukazały się dotychczas prace następujących autorów: ks. dr. E. Szramka, J. Łuki (K. Prusa), ś. p. ks. J. Londzina, P. Pampucha, Wł. Gębika, dr. T. Dobrowolskiego, dr. Wacł. Olszewicza, dr. M. Bielaka, St. Warcholika, St. Wallisa, prof. dr. Fr. Bujaka, ks. Grima, prof. dr. T. Sinki, dr. R. Lutmana, dyr. F. Popiołka, L. Musiała, H. Dobrowolskiego, ks. J. Kudery, dr. E. Farnika, dr. W. Sahanka, W. Ogrodzińskiego, ks. J. Gawliny, ks. dr. J. Korzonkiewicza, dr. R. Danysz-Fleszarowej i M. Gładysza. W pracach tych poruszano najrozmaitsze zagadnienia, dotyczące rzeczy śląskich: przyrodnicze, etnograficzne, historyczne i historyczno-literackie, oraz traktujące o sztuce ludowej. Rozprawy historyczne odnoszą się albo do wieków średnich, albo do niedawnej stosunkowo przeszłości. W tej ostatniej dziedzinie zasługują na uwagę źródłowe monografje ks. dr. Szramka o dr. Józefie Rostku i ks. Janie Kapicy, do których też należy zaliczyć obszerne wspomnienie o Adamie Napieralskim. Inną postać z dziejów Śląska Cieszyńskiego, ks. Józefa Londzina opracował ks. E. Grim. Monografje te wywołały i wywołują dyskusje wśród społeczeństwa śląskiego, przyczem zaznaczyć należy, że różnice poglądów nie wypływają z przeciwieństw politycznych obecnej chwili, lecz sięgają w niedawną przeszłość pod zaborem, której pamięć wraz ze sporem o celowości ówczesnych kierunków pracy, jest jeszcze dość żywa. Ks. dr. Szramek jest uczniem i wielbicielem ś. p. prałata Kapicy, ks. Grima, ś. p. prałata Londzina.

Jak nikt inny powołany był do pracy p. t. „Spór o dobra cieszyńskie” dr. W. Sahanek, rzecznik Państwa Polskiego w procesie o te dobra, który w III t. Roczników daje źródłową, obszerną monografję.

O literaturze śląskiej piszą: ks. dr. Szramek w rozprawie o największym epiku górnośląskim ks. Norbercie Boncyku, prof. Sinko o zapomnianym humaniście śląskim z początku XVIII w. Janie Karolu Skopie, ks. J. Kudera o innym poecie łacińskim ks Mateuszu Nydze (1765 — 1839), dr. E. Farnik o Chociszewskim na Śląsku i wreszcie W. Ogrodziński o Śląsku w poezji Jana Nikodema Jaronia, najwybitniejszego dotychczas poety górnośląskiego z w. XX.

Trudno w krótkiej recenzji wymieniać tematy innych prac, wśród których jest barwna rozprawka P. Pampucha o usamowolnieniu i uwłaszczeniu chłopów górnośląskich, wszystkie jednak zasługują z różnych względów na uwagę.

Ze wspomnień pośmiertnych wymieniłem już jedno o Adamie Napieralskim, z dalszych 8 wspomnę jeszcze nekrologi ks. dr. J. Chrząszcza, biskupa Ark. Lisieckiego, Wiktorji Niegolewskiej i red. Józefa Siemianowskiego.

Bardzo pożyteczny choć niezupełny dotychczas dział stanowią sprawozdania i rozbiory. Są to recenzje książek i pism, dotyczących Śląska i rzeczy śląskich pod jakimkolwiek względem, traktujące albo pojedyncze dzieła, albo ujmujące ich szereg z pewnej dziedziny w rozumowane sprawozdanie (dr. Lutmanna o regjonalnej polskiej literaturze historycznej na Górnym Śląsku 1922 — 1928 i dr. M. Morowicza „Z politycznej literatury niemieckiej o Górnym Śląsku r. 1930/31“). Jedynie brak funduszów przeszkadza rozwinięciu tego działu do granic zupełności, atoli każdy interesujący się Śląskiem znajdzie w tym dziale roczników kopalnię cennych informacyj i wskazówek.

Ostatni wreszcie dział daje corocznie obraz życia umysłowego na Śląsku, o ile się ono wyraża w działalności instytucyj i towarzystw naukowych, oświatowych, artystycznych, kulturalnych, zawodowych inteligencji itp. Niestety, niezawsze są te wiadomości obfite, gdyż Tow. P. N. skazane jest na czerpanie z materjałów dostarczonych przez odnośne towarzystwa, z których niejedno nie chce zrozumieć pożytku takich informacyj. W każdym roczniku dokładnością informacyj górują sprawozdania dyr. Popiołka o muzeach i bibljotekach w Cieszynie i dra T. Dąbrowskiego o Muzeum Śląskiem w Katowicach.

Cena Roczników jest niska (15 zł. za tom), gdyż Towarzystwu idzie przedewszystkiem o szerzenie wiedzy o Śląsku. Miejmy nadzieję, że będzie działać nadal z tą samą, a może po zamierzonej reorganizacji, z większą jeszcze energją nad przezwyciężeniem trudności, których nie skąpią czasy i ludzie, a wzbudziwszy na „smutnym odłogu śląskim“ zainteresowanie zwłaszcza finansowe, dawać będzie coraz obfitsze i częstsze swoje wydawnictwa.

WINCENTY OGRODZIŃSKI

Z KOWALSKIEJ PUSTELNI

Sam jeden stoję przeciwko wam,
Pismaków nędzna tłuszczo.
Sam jeden stoję i padnę sam,
Gdy duchy mnie opuszczą.

Znam już samotność, ubóstwo, głód,
Śmierć zdawna mnie nie straszy.
Mogę znieść wszystko, jak zniosłem wprzód,
Prócz nikczemności waszej.

Mam prawo gardzić, bo jestem z tych,
Próżniacza trutniów zgrajo,
Co już się wznieśli nad blichr, nad szych,
Co w pracy nie ustają.

Cierpliwie żyłem śród stęchłych błot,
Brodząc w ohydzie i błędzie;
Cierpliwie kował mej woli młot
Słowa — mej myśli narzędzie.

Dziś jest mi dobrze na cały wiek
W mojej kowalskiej pustelni,
Do której może wejść prosty człek,
Ale nie wejdą bezczelni.

STANISŁAW WYRZYKOWSKI

NA WIDOWNI

W stuletnim akordzie. — Poezja kataklizmu i rozpaczy. — Czy można zdobyczami sztuki opłacić klęskę. — Przez kulturę do wielkości. — Rola Słowa dzisiaj.

W „Literaturze“ G. Korbuta znajdziecie pod rokiem 1832 takie fakty: Zamknięcie uniwersytetu warszawskiego (w 1831 zamknięto — wileński). Mickiewicz w Poznańskiem (do marca), od marca do lipca w Dreźnie; w sierpniu osiada w Paryżu. „Dziadów“ część III Mickiewicza. Księgi Pielgrzymstwa i Narodu Polskiego. Dziennik podróży do Tatrów Goszczyńskiego (napisany) i t. d.

Trudno zdjąć oczu z tych suchych dat, bo nagle dobywa się z nich obraz trudny do objęcia a rodzący zadumę. Sto lat temu — jak to niedawno! — po wybuchu w Warszawie zawaliła się budowa Królestwa i zaczynała się doba „pielgrzymstwa“. Oto serce serc polskich: Mickiewicz, wędruje z ostatniego etapu w kraju, z Łukowa wielkopolskiego, na obczyznę, z zarodem „Pana Tadeusza“ w głowie; oto w Dreźnie eksploduje „Improwizacją Konrada. Inny poeta z tych kresów, o które właściwie Warszawa walczyła, belwederczyk Goszczyński, zatrzymuje się w Galicji w zamiarze wznowienia walk, choć w ręku ma tylko kostur pielgrzymi, a w duszy jęk:

Wysoko pod niebem żórawie leciały,
Wysoko leciały, a lecąc śpiewały.
Polami, lasami wojacy szli w tłumach,
Bez pieśni, bez grania w milczących szli dumach.

Bez pieśni. Bo wiedzą, że „z dłońmi gołemi pójdą w świat dalej i chleba u obcych będą żebrali“.

Żórawie, co w nasze lecicie krainy,
Zalećcie po drodze do naszej rodziny.
Na skrzydła, na szybkie żołnierskie łzy weźcie
I matkom i żonom i siostrom je nieście —
Niech matki wymodlą, wypłaczą niech żony,
By Bóg nam dał rychło powrócić w te strony .

(Goszczyński, „Wyjście z Polski“).

Są historycy (poloniści), którzy utrzymują, że jednak ta wielka klęska opłaciła się nam, inaczej bowiem nie mielibyśmy „Pana Tadeusza“, trzeciej części „Dziadów“, „Ksiąg pielgrzymstwa“, „Kordjana“. Takie zestawianie dwu różnych dóbr życia, jakby one były do wymiany, miałyby w sobie coś szatańskiego, gdyby nie naiwność, która je dyktowała. Kataklizm dał nam poznać w dziełach poetów nieznane bogactwa duszy. Ale przecież na to jest kultura w drodze normalnego rozwoju, aby one prędzej czy później się wyjawiły. Cóżby zresztą mieli do powiedzenia światu nasi poeci, gdyby nie kultura, w krótkotrwałym okresie szkolnictwa polskiego w kraju zdobyta?

Wspaniały w swej grozie był wybuch wulkanu Konradowego w „Dziadach“ drezdeńskich, dający się wytłumaczyć rozpaczą. Ale mieliśmy poczynające się już wówczas inne zjawisko: „Pan Tadeusz“, który można nazwać „fata morganą“ kraju, jawiącą się Pielgrzymowi. Nie zdają sobie sprawy z cudów artyzmu, którzy nie szukają ich źródeł w cudach uprzedniej pracy duchowej artysty.

Wyobrażano sobie, że Mickiewicz, znalazłszy się w Paryżu, z nudów i tęsknoty, nie mając nic lepszego do robienia, a zamykając się od hałasów otoczenia, pisał powieść, osnutą na tle wspomnień. Było inaczej: zachodził związek mistyczny między genjuszem Mickiewicza a życiem narodu. On ten naród wskrzeszał, wyczarowując go artyzmem.

Emegranci ze wschodnich kresów polskich zawiązali byli w r. 1831 w Paryżu „Tow. Litewskie i Ziem ruskich“. Kiedy znalazł się w niem Mickiewicz, narzucił członkom obowiązek pisania pamiętników. Miał takie czucie, że dusza tych biednych ludzi zatraci żywe poczucie narodu, jeśli pójdzie cała na kult symbolu. Czuł, że trzeba wskrzeszać w tej duszy konkret żywej Polski. Pamięć rzeczy, utrzymywać może duszę przy życiu. Ogłosił w „Pielgrzymie Polskim“ odezwę, plan pisania, na zebraniach rzecz wykładał. „Pan Tadeusz“ był jego pamiętnikiem. Stanął równy z równymi.

Sztuka wtedy jest wielka, gdy jest głosem wielkiego życia — gdy z niego jest, i dla niego. Czy epos mickiewiczowski miałby swoje wartości artystyczne, gdyby wszystko, co w nim jest, nie było przeżyte? W „Panu Tadeuszu“ znalazł się materjał, przestudjowany w naturze przez młodego filaretę, gdy kraj poznawał nietylko dla celów artystycznych. On go przezierał wskroś swoją miłością jasnowidzącą, on go badał w widokach potem politycznych. W więzieniu, gdy był pod śledztwem, pytano głównie o kwestjonarjusz, według którego związkowcy studjowali kraj, czy jest i w jakiej mierze gotów do walki o wolność. Materjał, tórym władał Mickiewicz, miał wymiary życia, nietylko estetyczne; stąd ta soczystość w „Panu Tadeuszu“. Natury zdrowe, w ziemię wrośnięte, jak Mickiewicz, nie dają się przesadzać na grunt obcy. Zamilkł w nim poeta, gdy uczuł, że to, co ożyło w jego pieśni, stracone jest dla jego życia.

Próżno poeci późniejsi usiłowali przez wyjazd za granicę osiągnąć warunki tworzenia na miarę Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego. Psychologja poezji emigracyjnej była inna. Poetów tamtych ścigały Erynje rozpaczy. Co gorsza, ścigała ich odpowiedzialność za pokolenie, które w porywie uczucia i wiary, że służy dobru narodu, zapaliło lont i spowodowało katastrofę. Zdawało im się, że unoszą z sobą arkę świętą, w której ocaleje duch narodu, wcielony w poezję. To nie była poezja turystów za paszportem. Rozkrzyżował się duch Polski na dziejowej Golgocie, dobywając z siebie najgłębsze słowo, mające być podstawą metafizyczną wiecznego życia narodu.

Oczywiście taki wstrząs głęboki ducha sprzyjał w niezwykły sposób wybujaniu poezji, jako twórczości, opartej na natchnieniu. W tym wymiarze nic podobnego w Polsce dotąd nie kwitło — był to jakiś kwiat mistycznej agawy. A jednak po stu latach musimy sobie powiedzieć, że ta wyżyna nas obowiązuje.

Nic nie ginie w naturze, ale też nic nie ginie w sztuce. Inne muszą być dzisiaj, psychologicznie biorąc, motywy natchnienia, ale sztuka poetycka nie może już schodzić niżej tego pietyzmu dla Słowa, jaki wówczas był normą. Sztuka jest pełnieniem wielkiej ofiary całopalnej. Wypowiadać się w niej musi cały człowiek. Drogo nas kosztował ten dowód prawdy z dziedziny kultury artystycznej.

Wynalazek ten polski dał początek nowej epoce literatury. I on właśnie obowiązuje. Dajmy na to — a to bardzo możliwe — że dzisiejszy system maszynizmu i kolosalnego przemysłu zbankrutuje. Ludzkość powróci do małych warsztatów. Czyż wtedy wyrzeknie się ona epokowych wynalazków,

np. zastosowania elektryczności? Otóż i w poezji, choćby na małą skalę wzlotów, nie można już teraz operować ułamkami człowieka, pisać słowa, nie znajdujące oddźwięku w **pełnym** człowieku i w kulturalnem, na stopę twórczą postawionem społeczeństwie.

Próżny wysiłek: porywać formą, gdy się nie ma nic do powiedzenia narodowi, który przeżył Golgotę, lub kusić się o przerobienie człowieka na nowy typ, któryby nie szukał w Słowie chleba na żywot wieczny.

Pyły wulkanu emigracyjnego roku 1832 spadły po dłuższym czasie na kraj i użyzniły glebę literatury. I pokazało się, że ci twórcy sięgają szczytami miary zeszłowiecznych poetów, którzy potrafili kulturą duszy im dorównać (Kasprowicz, Wyspiański, Bolesław Prus).

To, co Goszczyński zlecał żórawiom, spełniło się: „Bóg nam dał powrócić“ z piegrzymstwa „w te strony“. Czy skończyła się rola Słowa, że rozpacz minęła?

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

CAŁY NARÓD BRAŁ UDZIAŁ W ŚWIĘCIE ŚLĄSKA, obchodzonem uroczyście w dziesiątą rocznicę przyłączenia tej dzielnicy do Polski.

Nie wszyscy mogli o uczuciach swych zaświadczyć swoją podróżą do Katowic, ale to wiedzieć powinni Ślązacy, że wszyscy w Polsce duchem to święto święcili.

Nie jest zadaniem naszego pisma zajmować się kroniką zdarzeń. O znaczeniu polityczno-narodowem Śląska dla Polski wszyscy wiemy, ale godzi się przytoczyć opinję znawców o pracy Śląska po przyłączeniu do Polski.

Przyłączenie Górnego Śląska z jego skarbami kopalnemi — wprowadziło Polskę odrazu na poziom przemysłu europejskiego i na rynek wszechświatowy.

Bilans naszej dziesięcioletniej gospodarki na Śląsku jest zadawalający. Polskie kierownictwo nietylko nic nie zmarnowało z tego, co zdobyliśmy po Niemcach, lecz przeciwnie wprowadziło pod wielu względami znaczne ulepszenia.

Niemcy zostawili kopalnie i huty w opłakanym stanie, ponieważ prowadzili rabunkową gospoparkę podczas wojny światowej i w pierwszych latach po niej, przeczuwając, że Śląsk utracą. Polacy w kilka miesięcy po objęciu tak opanowali warsztaty pracy, że produkcja węgla, wydajność robotników i koszta własne produkcji — odrazu zmieniły się na korzyć. Pod względem technicznym kierownictwo polskie, wzorowane na systematach francuskich, wprowadziło cały szereg racjonalnych i nowych pomysłów, jak naprzykład zracjonalizowanie odbudowy cienkich pokładów węgla systestemem długich (do 800 mtr. frontu) ścian, czego nie stosowano ani w Niemczech, ani w innych krajach — przed Polską.

Obecny stan wielkiego czyli t. zw. ciężkiego przemysłu jest istotnie bardzo ciężki, ale jest to wynikiem powszechnego, wszechświatowego kryzysu, a nasze lokalne okoliczności nie mają większego znaczenia.

Poza węglem mamy jeszcze cynk, którego znaczenie międzynarodowe jest jeszcze donioślejsze. Polskie hutnictwo oraz koksownictwo związane z kopalniami rud żelaznych i cynkowych, poza Górnym Śląskiem jest bardzo nikłe i jest niewystarczające dla potrzeb nawet wewnętrznego spożycia.

Eksport (węgiel, cynk) aczkolwiek chwilowe ze względów dumpingowych pozostawia wiele do życzenia, jednak będzie koniecznością przy nadejściu w przyszłości normalnych stosunków ekonomicznych w Europie.

Otóż i pod tym względem położenie Polski nie jest najgorsze, a utrzymanie rynku skandynawskiego, nawet w okresie spadku funta angielskiego, świadczy o energji i trafności zagranicznej polityki polskiego przemysłu węglowego.

Dziesięć lat w życiu narodu to nie jest wielki okres, a jednak Polska, która zdobyła się na wielki port morski w Gdyni, prowadzi specjalną magistralę kolejową od Zagłębia Węglowego do morza i utrwala byt kopalń i hut śląskich, wytrzymując trudności kryzysowe bez obcej pomocy. Społeczeństwo polskie powinno zrozumieć, że należy wytężyć wszystkie siły, aby nie zmarnować osiągniętego zwycięztwa.

ZA TO, ŻE CZYTALI DMOWSKIEGO! We wstępnym artykule „Głosu Narodu“ (nr. 167) spotykamy między faktami, charakteryzującemi obecne stosunki w szkołach, taki szczegół:

„**Znany mi jest** — pisze autor W. Z. — **wypadek wykluczenia kilkunastu uczniów najlepszych pod względem pilności, zdolności i obyczajów za to, że czytali pisma Dmowskiego**“.

Nie są to czasy, w którychby się ktokolwiek czemukolwiek dziwił, więc i autor artykułu nie widział potrzeby zaspokojenia naszej ciekawości, gdzie i w jaki sposób to się stało. Trzeba przyznać jednak, że informacja, w tych paru słowach zawarta, robi wstrząsające wrażenie.

Dla czego dzieła Dmowskiego mają być zakazane młodzieży, która przecież — jak każe system wychowania państwowego — od dziecka teraz polityzuje? Książki Dmowskiego zresztą — to nietylko polityka — jest to nauka o narodzie i obowiązkach obywatela. Dmowskiego dzieła są chlubą piśmiennictwa polskiego. Pyznawano mu za nie doktoraty zagranicą i w kraju, nagrody publiczne. Dmowski jest twórcą systemu polskiej myśli politycznej, systemu, którego zastosowanie w praktyce przyniosło Polsce niepodległość. To nie działacz-taktyk, agitator jakiś, któregoby wolno było uważać za własność jakiejś grupy i za wielkość względną. Jest własnością i chlubą narodu.

A w szczególności cóż pedagoga może razić w dziełach Dmowskiego? Styl i język wzorowy. Gdzież dobrej prozy się uczyć, jak nie na Dmowskim, którego wykład budzi podziw swoją jasnością nawet w najzawilszych zagadnieniach. Pisma jego dla pisarzy politycznych niedoścignionym są wzorem przedmiotowości i uczciwości myślenia. Przyznawali mu to nawet wrogowie polityczni. Na nim się uczyć powinna młodzież, co to jest myślenie odpowiedzialne, co to jest stosunek etyczny autora do przedmiotu.

Więc może zasady jego są zdrożne, dla państwa szkodliwe? Może obraża uczucia religijne, moralność publiczną? Może szerzy wywrotowe zasady socjalne? Może niema poczucia prawa, państwo-

wości? Może grzeszy brakiem patrjotyzmu? Może kiedy miał co innego na celu, niż dobro Polski? Może kieruje nim żądza chwały osobistej, karjery, władzy?

Chcielibyśmy bardzo wiedzieć, jakie to ciało wydało wyrok na pisma Dmowskiego. Czyżby wystarczająca była w tym względzie opinja p. Jędrzejewicza? To pewna, że umotywować takiego stanowiska wobec dzieł Dmowskiego niktby nie potrafił. Utrzymać się na niem można chyba tylko siłą fizyczną.

PADEREWSKI GRA!

RADJO POLSKIE tak pięknego i szczytnego zadania nie spełniło dotąd nigdy, i nigdy też jeszcze dotąd nie obudziło dla siebie uczucia tak ogólnej wdzięczności, jak w dniu 25 czerwca, pamiętnym dla całej Polski, radośnym, świątecznym. Nie było dnia tego nikogo, bez względu na klasę społeczną, na partję polityczną, na wiek, na zajęcie, na umysłowe kwalifikacje nawet, ktoby nie odczuwał, że się ma stać coś nadzwyczajnego, co wszystkich zachwyca, jednoczy i podnosi, zarówno w godności człowieczej, jak i w dumie narodowej pięknej, szlachetnej, krzepiącej i płodnej.

Radjo Polskie było dnia tego zaprawdę błogosławionym łącznikiem pomiędzy muzyką z daleka płynącą a nami, a chociaż zawdzięczamy instytucji tej nie jedno wysokie zadowolenie artystyczne, to żadne mierzyć się nie może pod względem swej doniosłości artystycznej z ową przeszło dwugodzinną audycją, co ucho upajała czarem dźwięku niezrównanym. A cóż mówić o radości wywołanej faktem, iż stało się nareszcie to, na co Polska z utęsknieniem czekała od lat dwudziestu, może i uskarżając się nieraz, że zagranica otrzymuje tak wiele, a my tu nad Wisłą i Sanem tylko jakieś echa olbrzymich powodzeń Mistrza wywołanych cudotwórczą ręką i wspaniałemi czynami woli!

Tak jest, stało się, iż nadeszła chwila, w której cała Polsa od Poznania do Wilna i od Kaszubskich brzegów aż do Beskidu, powtarzała sobie z radością:

Paderewski gra!...

Rzecz prosta, że każdy czułby się szczęśliwy, gdyby mógł własnem okiem spoglądać na szlachetną postać Mistrza i bezpośrednio otrzymywać dźwięki z pod jego przesubtelnych palców. Radjo ma swoje niedostatki, to rzecz pewna, ale jakąż rozkoszą napawa się dusza słuchacza na myśl, że w tej chwili jednocześnie z nim, słuchają miljony uszu, jednocząc się w zachwycie i wdzięczności! Kraj zmienił się w olbrzymią halę koncertową, cudowność wynalazku nigdy może tak wspaniale nie wystąpiła! Bo wszakże Mistrz swoją audycję szopenowską przeznaczył tym razem w szczególności dla Polski, pozatem grze jego przysłuchiwała się tylko sala Teatru Champs-Elysée w Paryżu, przepełniona publicznością, na której czele jaśniała dostojna entuzjastka, przybyła na koncert umyślnie do Paryża, Marja, królowa Belgji.

Ale radjo bywa kapryśne a czasem nawet złośliwe, więc przed oczekiwaną chwilą nerwowa obawa, czy nie zajdzie nic takiego, coby miało popsuć zapowiedzianą audycję!

Czuję się tem zaniepokojony (przepraszam, że w tem miejscu zejść muszę na osobiste własne wrażenia), godzina trzecia się zbliża, auta nie spotykam, zrozpaczony możliwością spóźnienia się, biegnę, myśląc o programie dotąd mi nieznanym, i o przyjęciu zgotowanem Mistrzowi przez słuchaczy paryskich. A tu tymczasem dźwięki z każdego niemal okna dochodzą mnie, płynące w powietrzu. Co się stało, że dziś wszędzie Fantazję grają Szopena, zapytuje się dość naiwnie samego siebie. Dopadam auta, za minutę będę w Polskiem Radjo. A tu Fantazja Szopena wszędzie i wszędzie, z małemi przerwami. Czy rozpoczęto już? Punktualnie o 3-ciej, odpowiadają mi. Słyszeliśmy wszyscy olbrzymią owację, tylko fala chwilami niedopisuje, są przerwy. — A co Mistrz gra? — Fantazję f-moll Szopena. — Oczywiście. A więc słyszałem ją w drodze! Jeszcze nigdy w życiu muzyki w ten sposób nie słuchałem...

Fala radjowa bywa kapryśna, ale w tym wypadku uległa widocznie potędze muzyki, którą miała szczęście przenosić z Paryża do Polski i zaraz w drugim czy trzecim numerze programu przestała kaprysić. Odbiór był prześliczny, jasny i wyraźny. Dźwięk fortepianu dochodził z największą precyzją.

Było nas osób czternaście przy najlepszym głośniku Radja Polskiego, w każdym pokoju utworzyła się grupa słuchaczy, studjo było przepełnione publicznością. Z zapartym oddechem słuchaliśmy gry Mistrza; nie przypominam sobie skupienia podobnego przy żadnej audycji. I tak płynęły po kolei, preludja, mazurki, nokturny i polonezy, Sonata b-moll, Scherzo b-moll, etiudy, polonezy i kołysanka. Niestrudzony mocarz-pianista grał utworów Szopena 24! Trzecią tego część ponad zapowiedziany program.

Żadne pióro nie zdoła opisać odrębności, jaka cechuje grę Mistrza. Dostrzega ją zarówno laik, jak i zawodowiec. Tylu artystów na świecie gra doskonale i pięknie, a żaden przecież nie gra jak ten! Tak nieskazitelnie, tak przeczysto, tak plastycznie i ciepło! I tak rozumna i przemyślana jest ta gra, a jednocześnie tyle w niej życia i zapału — życia pełnego serca, mocy i fantazji.

Może być, że inny wirtuoz gra to lub owo prędzej. Czyni to bezwiednie dlatego, że nie wie czem frazę miałby wypełnić. Więc przelatuje ją, może nawet bez intencji olśnienia słuchaczy szybkością, tylko raczej ażeby się z nią uporać, nie zdradzając się z bezmyślnością lub brakiem pietyzmu. U Paderewskiego każda nuta ma znaczenie, każda pauza coś mówi, każda fraza jest częścią duszy autora i kongenjalnego odtwórcy. Dzięki temu, nawet taki Walc Es-dur nabiera niezmiernej szlachetności i czaruje swym wdziękiem, właśnie jak ulał przedstuletnim!... A cóż dopiero mówić o utworach większej potęgi i głębi! O Sonacie, o Scherzu, o Polonezie As-dur!...

Czarowna minęła chwila. Lecz pamięć jej w sercach naszych nigdy nie przeminie. Może trochę osłabliśmy w okresie niesłyszenia tego wielkiego, drogiego i kochanego Mistrza, bo wszakże nie dał nam słyszeć swej muzyki tak długo. Ale teraz nanowo obudził w nas entuzjazm dla swej wielkiej sztuki i adorację dla swej pięknej duszy.

Dzięki Mu za to!

Radjo jest rozumne i sprawiedliwe, że nam tak sumiennie przyniosło rzecz wielką. Jeżeli w przyszłości oszczędzi nam jeszcze rzeczy zbędnych i niemiłych, to wychwalać je będziemy coraz goręcej.

STANISŁAW NIEWIADOMSKI

NAUKA I LITERATURA

O KRYZYSIE ZE STANOWISKA KATOLICKIEGO

JEŻELI z tamtego świata można dość dokładnie obserwować, co się tu u nas dzieje, to takim Lamenaais'om, Mickiewiczom i innym niewątpliwie robi się przyjemnie. *Quantum mutatum!*... Np.: kiedy bolszewicki „Bezbożnik" umieścił karykaturę, przedstawiającą Chrystusa, jak osłania Sobą burżuja a mitygnje proletarjusza, to na to organ watykański „*Osservatore Romano*" (30.IV.1930) tak oto replikował: „Wobec takiego bluźnierstwa nie wystarcza oburzenie. Należy raczej przeprowadzić rachunek sumienia. Wyznajmy otwarcie: Wielu, którzy się nazywali i nazywają zwolennikami nauki Jezusa, zdradzali go często"... I dalej: „Modlitwa jest kłamstwem, jeśli jej nie towarzyszy miłość Boga i jeżeli nie przybiera postaci miłości bliźniego". A wreszcie, że samo miłosierdzie indywidualne nie zastąpi słusznego ustroju społecznego: „Robotnik zdrów ma prawo i obowiązek wystarczenia sobie z własnej pracy; nie może być skazanym na jałmużnę.. Utrzymywanie się z jałmużny musi go zabić. Jest rzeczą straszną mówić ubogim: „Błogosławieni, którzy płaczą"... Jest to ironja, która woła o karę, jest to szatańskie zniekształcenie Ewangelji"... Tak, taki głos gniewny wygląda na głos tego „wielkiego anioła czynu", o którym marzył nietylko Słowacki... Kto sobie jeszcze wyobraża, że katolicyzm współczesny — to znaczy to, co w nim jest żywe i nadaje mu wyraz znamienny—identyfikować można z obojętnością socjalną, tą o mince ckliwo - jałmużniczej, lub tą o wyniosłej twarzy, lekceważącej sobie „kwestję społeczną" jako rzekomą „filantropję" — ten jest w grubym błędzie. Myśl katolicko - społeczna jest dziś bardzo obfita, śmiała i nieraz, rzecby można radykalna Dominikanin Horvath, interpretując naukę św. Tomasza o „dobrach zbytecznych", nie waha się stwierdzić, że „świętość i nietykalność prywatnej własności rozumiane tak, jak dawniej, to znaczy jako wyłączne prawo jednostki do używania i nadużywania posiadanej przez nią własności, jest ideą nie chrześcijańską, ale pogańsko - kapitalistyczną". To wiele. Ale bodajże nie jest zbyt dalekim od tej idei nie kto inny tylko sam papież Pius XI., który w jednej z ostatnich swych encyklik (*Quadragesimo anno*) orzeka: „Państwo dostosowując własność prywatną do potrzeb ogółu, nie wyświadcza posiadaczom przysługi wrogiej lecz przyjazną. Tym bowiem sposobem zabiega skutecznie, aby własność prywatna, której Stwórca udzielił jako pomoc życiową, nie doprowadziła do stosunków nieznośnych i tem samem grobu sobie nie wykopała". Cytaty te są wyjęte z rozprawy, ogłoszonej przez ks Piwowarczyka [1]), znanego publicystę katolickiego i niestrudzonego zaiste popularyzatora nowych myśli katolicko-socjalnych, który tutaj, na szeroko zakreślonem tle kryzysu socjalnego, daje, nietylko ściśle autentyczną jak wolno mniemać interpretację rzeczonej encykliki, lecz i szeroki przegląd nowożytnej myśli katolicko - społecznej. Niepodobne na tem miejscu ani tknąć obfitej treści tego studjum, dość będzie z tych wywodów ściśle rzeczowych i spokojnych, ale energicznych w intencji, tę wyciągnąć konkluzję, iż katolicyzm współczesny zdecydowanie dąży do ładu gospodarczego, że takie kwestje jak „planowego gospodarstwa", etatyzacji jakichś urządzeń lub gospodarki liberalnej i t. p.—są kwestjami ściśle i tylko ekonomicznemi, że zatem nad taką lub inną w podobnych sprawach decyzją nie może zawisnąć żadne *odium* moralne. Niemoralnym i zbrodniczym jest tylko stan gospodarczo-socjalnej anarchji, w której dzieci i starcy zabijają się z głodu, i nie moralnym i zbrodniczym jest, z drugiej strony, taki ustrój, który wszelką bez różnicy własność odrzuca, a tym sposobem obraca człowieka w niewolne narzędzie kolektywu. Pobożny czy niepobożny, ale każdy myślący o straszliwych zagadnieniach czasu, powinien się i z katolicką w tym zakresie myślą zapoznać. Zwięzła rozprawa ks. P. dobrze mu się w tym względzie przysłuży, a jeśli zechce przeczytać coś więcej, to znajdzie w niej bibljografję obcą i polską.

SIMPL.

[1]) Ks. Jan Piwowarczyk. Kryzys społeczno-gospodarczy w świetle katolickich zasad. Kraków 1932. Skład główny w księgarni krakowskiej.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO I LITERACKIEGO

W pielgrzymce polskiej na Kongres Eucharystyczny w Dublinie bierze udział współredaktor „Myśli Narodowej", Jan Rembieliński. Listy z podróży Rembielińskiego ukazują się w „Gazecie Warszawskiej" (od nr. 187).

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Dwie książki, rzucone teraz na rynek księgarski, zrobiły w sferach politycznych wielkie wrażenie. Są to: Jędrzeja Giertycha: „O program polityki kresowej" i H. Rolickiego „Zmierzch Izraela". Obie poświęcone naszym „mniejszościom". Jakże jednak odmienny obraz przedstawiają tereny polityczne, objęte temi książkami! Żydzi chętnie łączą swoją sprawę ze sprawami mniejszości kresowych, aby ich kosztem wygrywać coś na Polakach i na Lidze Narodów. Tymczasem sprawa żydowska — to sprawa pasorzyta, a stosunek nasz do elementów etnograficznych ruskich — to sprawa współżycia z ziomkami, autochtonami, sprawa rodzima cywilizacji polskiej. Przyszła chwila uprzytomnienia sobie tej różnicy. Dla tego książki pomienione są tak ważne.

Naogół ruch umysłowy w obozie narodowym zadokumentował się imponująco w ostatnich czasach. Dosyć przypomnieć takie podstawowe dzieła, jak: R. Dmowskiego „Polityka polska i odbudowanie państwa", „Świat powojenny i Polska", Marjana Seydy „Polska na przełomie dziejów" (2 tomy), R. Rybarskiego „Naród jednostka i klasa" i „Przyszłość gospodarcza świata". Obecnie wyszły pomienione wyżej książki Giertycha i Rolickiego. Dmowski opracowuje nową książkę wielkiej wagi.

*

Książka K. Makuszyńskiego „Człowiek znaleziony w nocy" (nakł. Gebethnera i Wolffa) doczekała się w ciągu krótkiego czasu już dwóch wydań. Należy to zapisać na dobro nietylko czytelników, ale i samego autora, który dał z siebie wiele i pokazał, na co go stać jeszcze. Pisanie doraźnych feljetonów i konceptów musiało na dłuższą metę prowadzić do zmanjerowania. Szczęście więc, że zdolny pisarz umiał w porę zatrzymać się na tej drodze i uniknąć niebezpieczeństwa, a raczej że umiał „znaleźć człowieka"—w samym sobie. Ta powieść to nietylko nowy temat, nietylko nowy „dryg" pisarski — to poprostu nowe ustosunkowanie się do spraw życia i społeczności. Tytułowy bohater powieści — Juljusz — jest, pomimo pewnego umyślnego przeszarżowania, postacią naprawdę ciekawą i głęboko ujętą. Z powierzchowności może trochę podobny do ś. p. malarza Szczygła, trochę do Diogenesa, różni się jednak od pierwszego temperamentem, od drugiego zakresem poglądu na świat. Diogenes kiedyś z latarnią w biały dzień szukał człowieka, Staliński takiego człowieka znalazł — w nocy. Człowieczeństwo Juljusza — to jego bezgraniczny humanitaryzm: ten człowiek bez koszuli (inna rzecz, że ongi majętny hulaka, później pokutujący za grzeszki młodości) jest filantropem większym, niż ludzie bogaci i szczycący się swą cnotą. Wciąż tylko o tem myśli, by uszczęśliwiać ludzi równie biednych, że kosztem własnej ofiary czy przykrości może im dopomóc. Już tem samem zdobywa sobie naszą sympatję, jeszcze zaś więcej przez to, że wszystko, co czyni dobrego, czyni w sposób wesoły i zabawny. Jest coś chestertonowskiego w ujęciu jego filantropji. Dopiero końcowy rozdział jest prawdziwie tragiczny—w nim już bez osłonek przemawia serce pisarza. Obok Juljusza nakreślił autor pewną ręką wiele innych udatnych postaci; może tylko Staliński mało ma wyrazu. Byczy jest taki „Leszek Zyndram", którego twarz „była w tragicznym rozdźwięku z nazwiskiem, chrzęszczącem jak zbroja i dzwoniącem jak rycerskie ostrogi". Ten „rycerz" — oczywiście „z naszych", jak wszyscy dzisiejsi Napierscy i Koniecpolscy — reżyseruje film, w którym „występować" muszą — też oczywiście — rosyjskie mundury, bo ich jest w Polsce „zatrzęsienie". Słuszną dostał przymówkę „polski" film, w którym, jak wiadomo, jest dziś Szaro (*recte* Szapiro) — szaro i nudno. (J. B.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

W serji *„Les grandes Etudes historiques“* (nakładem A. Fayard w Paryżu) ukazała sie książka Augusta Boilly p. t. *Jules César*. Jest to zajmująca biografja wielkiego Rzymianina. Nie stoi jednak na wysokości rzeczy takich jak Napoleon J. Bainville'a lub drogi rewolucji francuskiej Garotte'a, które się ukazały w tem samem wydawnictwie. (S. K.)

*

Tym, co się interesują masonerją, można polecić książkę *„La trahison spirituelle de la Franc - Maçonnerie“*, której autorem jest Jean Marquès - Rivière. Nie przynosi ona nowych rewelacyj, lecz, zwłaszcza w swej części trzeciej (Doktryna) daje dużo materjału do zrozumienia istoty wolnomularstwa i jego związków z okultyzmem i „naukami“ tajemnemi. Autor powiada w przedmowie, że był przez siedem lat w lożach, co mu pozwoliło na bliższe zapoznanie się ż życiem wolnomularstwa. (K.)

*

Ukazało się niemieckie wydanie książki Ryszarda Cantillona, noszącej tytuł „Traktat o naturze handlu w ogólności“ (*Abhandlung über die Natur des Handels im allgemeinen*. Jena 1931 r. str. LXX — 207). Jest to jak wiadomo pierwsze systematyczne opracowanie ekonomji. Wywarło ono duży wpływ zarówno na Quesnay'a, jak i na Smith'a. Książka ta przechodziła dziwne koleje losu. Autor jej Ryszard Cantillon, bankier angielski, mieszkający przez dłuższy czas w Paryżu, na początku XVII wieku został zamordowany w r. 1734 przez swego służącego. Książka nie została za życia swego autora ogłoszona, lecz krążyła w rękopisie, wywierając duży wpływ na umysły. W druku ukazała się książka anonimowo w r. 1755. Dwa następne wydania ukazały się w r. 1756. Potem zarówno książka, jak i autor ulegli zapomnieniu. Gdy wiec Smith w dziele swem o Bogactwie Narodów powoływał się na niejakiego Cantillona przez dłuższy czas nie wiedziano, o kogo chodzi. „Odkrył“ Cantillona i ustalił jego stanowisko w historji ekonomji dopiero w r. 1881 W. St. Jevons. (J. P.)

ZMARLI

Ś. P. WŁADYSŁAW ŁYSZKOWSKI

ZMARŁ w Łodzi śp. Władysław Łyszkowski, przewodniczący zarządu wojewódzkiego i koła miejskiego Stronnictwa Narodowego. Urodził się w 1877 r. we Lwowie. Po ukończeniu wydziału prawnego uniwersytetu lwowskiego poświęcił się służbie administracyjnej. Zajmując kolejno odpowiedzialne stanowisko starosty w Brodach, Buczaczu i komisarza w Jaśle i Przemyślu w czasie wojny, został w 1920 roku zamianowany naczelnikiem wydziału administracyjnego i wice-wojewodą w Łodzi.

Po przewrocie majowym ś. p. Władysław Łyszkowski został przeniesiony do centrali min. spr. wewnętrznych w charakterze naczelnika wydziału i niebawem na emeryturę.

Brał nader żywy udział w życiu politycznem, społecznem i kulturalnem Łodzi, poswięcając wiele pracy szeregowi instytucyj i stowarzyszeń ze Stron. Narodowem na czele i zaskarbiając sobie wielkie uznanie społeczeństwa Łodzi i całego województwa. Przy ostatnich wyborach kandydował z listy narodowej do Senatu.

Dla obozu narodowego śmierć śp. Władysława Łyszkowskiego, wiernego bojownika idei narodowej, jest bolesną stratą.

Zwłoki spoczęły na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie. Trumna zarzucona była wieńcami.

Z wydanych przez Tow. Wyd. „Patria“ książek dwie wzięte zostały do rozprzedaży przez księgarnię Ruchu, mającą swoje filje w miejscowościach kuracyjnych, dokąd przeniosła się na lato znaczna część ludzi czytających. Są to książki: S. Godlewskiego „Warszawa“ i Z. Wasilewskiego „Pieśń w górach“. Gdzież np. czytać „Pieśń w górach“, jak nie w Zakopanem, Worochcie, Jaremczu, Truskawcu czy w Szczawnicy? „Warszawa“, wymagająca od czytelnika skupienia, tem cenniejszym klejnotem wyda się umysłom, wypoczętym na łonie przyrody. „Warszawa“ uznana została powszechnie za najlepszy utwór beletrystyczny lat ostatnich.

OFENSYWA

„JUDIEJ W KWADRATIE“

WYJĄTKOWO „wredny“ parszywiec ten znakomity pisarz niemiecki wszechświatowej sławy Emil Ludwig.

Kohny i Kohnowie bywają zdarzy się całkiem godne. W każdym większym mieście na kuli ziemskiej można natrafić na sympatetycznego Kohna. To będzie adwokat, to kapelmistrz, to lekarz chorób wenerycznych, to kupiec solidny, to lichwiarz, to dziennikarz brukowy ale każdy z nich całkiem normalnie proceder swój uprawiający, przyczem „oświecony“ i „postępowy“, „kulturalny“ i układny. Przeciętny Kohn, normalny typus: Kohn jeżeli już nie da się lubić, to jest w każdym razie do zniesienia i to niekoniecznie zaraz po schodach.

Im atoli mniej przeciętny, im więcej, anormalny i utalentowany, tem więcej staje się arogancki, agressywny, bezczelny i nie do zniesienia.

Emil Ludwig Kohn znakomity pisarz „po niemiecku“ jest nieprzeciętnie wredny, nahalny, wstrętny i to co się nazywa po staropolsku: parszywiec. Nie dosłownie, nie! Tylko w przenośni. Dlaczego używa się tego *epiteton ornans*, któregoby się nie używało nawet w odniesieniu do Belmonta czy Bettanera, Hirschorna czy Hirschbanda, zaraz postaramy się wyekspulikować

Berliński „sznellszrajber“ i liwerant monumentalnych portretów historycznych w ostatnich czasach spadał na gełdzie literackiej i zaczął być rąbany i rżnięty z prawej i z lewej, ba nawet przez współwyznawców *(Frankfurter, Vossische)*, którym się poprostu przedwcześnie przejadł. Krytyka niemiecka udowodniła mu czarno na białem, że blufuje, że przekręca, naciąga, i przeciąga, że cygani i fałszuje, że jest Brandesem ale kieszonkowym i że z każdego nowego dzieła „monumentalnego“ wyłazi z pomiędzy wierszy coraz więcej międzynarodowy stuprocentowy *„judiej w kwadratie“*.

Emil Ludwig Cohn na tę gestą, strzelaninę ze wszystkich stron odpowiedział grubą kilkuset-stronnicową autobiomonografją, gdzie wzorem Rousseau *Confession*“ wylał także swe „żale Semity“, do świata i ludzi. Nic i to nie pomogło. Znów się posypał grad inwektyw z obozu nacjonalistów a kompletne *Todtschurgen* od strony judemokracji. Nawet go nie bronili. Tylko bardzo zażarte Machabeje jeszcze kruszyły kopje w obronie najgenialniejszego Plutarcha naszych czasów, który „zaszczyt przynosi“ narodowi niemieckiemu i jego piśmiennictwu.

Wtedy chytry przemyślny Odyssej postanowił publiczność niemiecką czemś olśnić i na nowo udowodnić, że choć Kohn z rodu, z rasy i professji, jednak jest wzorowym Niemcem. Postanowił zrobić *geszeft* na psychozie antypolskiej, na *Polenkoller*. *Trick* na terenie najmniejszego oporu. Jajko Kolumba!...

Pojechał tedy do Moskwy by z pomocą jeszcze tej garści jewrejów, co utrzymała się z trudem przy Kremlu dotrzeć do Stalina. I dotarł. Pierwszego stycznia cytadela żydostwa niemieckiego *„Berliner-Tagblatt“* dał wywiad Kohna z Gruzinem.

Pluparch stawiał pytania:

„Niektórzy politycy niemieccy mają poważne obawy, że polityka tradycyjnej przyjaźni pomiędzy Związkiem Sowietów a Niemcami odsunięta zostanie na dalszy plan. Obawy te zrodziły się w związku z rokowaniami pomiędzy Związkiem Sowietów a Polską. Gdyby w wyniku tych rokowań Związek Sowietów uznał dzisiejsze granice Polski to pewnem jest, że rzeczywistość ta oznaczałaby wielkie rozczarowanie dla całego narodu niemieckiego, który jest zdania, że Związek Sowietów walczy z systemem wersalskim i nie zamierza systemu tego uznać“.

Na co odpowiedział Kohnowi Stalin:

„Wiem — odpowiedział Stalin — że pomiędzy niemieckimi mężami stanu można zaobserwować pewien niepokój i obawy, aby Związek Sowietów w swych rokowaniach albo może w jakiejś umowie z Polską nie uczynił jakiegoś kroku, ktoryby oznaczał, że Związek Sowietów daje swą sankcję, gwarancje za panowanie i granice Polski. Mojem zdaniem obawy te są nieuzasadnione“.

Ale wredny żyd nalegał. Musiał przecież znów wkupić się w łaski Niemców ażeby towar szedł do klientów, musiał znów się okazać dobrym, czujnym patrjotą niemieckim. Przypierał więc Stalina do ściany. Niech się wypowie! I niech Kohn będzie tym, który uspokoi obawy Niemców. I Stalin mówił:

„Zarówno my, jak i Polacy, musimy zaznaczyć w pakcie, że nie będziemy stosować gwałtu i ataku w tym celu, aby zmienić granice Polski lub Związku Sowietów

albo abyśmy naruszyli ich niepodległość. Tak jak my, tak i Polacy takie dawają nam przyrzeczenie. Bez artykułu, mówiącego o tem, że nie zamierzamy prowadzić wojny, aby naruszyć niezawisłość naszych państw, nie można podpisać żadnego paktu. Bez tego „coś" byłoby zbytecznem o rzeczy mówić. To jest maximum co możemy uczynić. Czy jest to zgodne z systemem wersalskim? Nie. Czy może to jest gwarancja granic? Nie. Nie byliśmy nigdy gwarantami Polski i nigdy nimi nie będziemy, jak Polacy nigdy nie zagwarantują naszych granic. Nasze przyjazne stosunki z Niemcami pozostaną nie zmienione".

I z tem oświadczeniem Stalina *„Judiej w kwadratie"* w masce patrjoty niemieckiego wrócił do Berlina i *„Berliner Tagblattu"*. Patrzcie i słuchajcie Niemcy patrjoci, jaką to „dobrą nowinę" przynosi! Sowiety nie gwarantują zachodnich granic Polski nawet po pakcie! Niemcy mogą robić co im się żywnie podoba. A kto te wyznania od Stalina wydobył? Kto go zmusił do wypowiedzenia się jasno? Oto właśnie Emil Ludwig, autor „Napoleona", „Wilhelma", „Michała Anioła" i „Chrystusa", tensam Emil Ludwig, którego wy Niemcy nazywacie *der kleine Kohn, der freche Kohn, der falsche Kohn.* Niewdzięczni!

Kohnowi nie odpowiedziało żadne polskie pióro. Ani Kaden ani żaden. Odpowiedział mu belgijski publicysta Piotr Notbomb w piśmie *„XX Siecle"* w artykule p. t.: „Nasz naród i naród niemiecki", który to artykuł przemilczamy w Polsce, zamieściła polska prasa amerykańska:

„Jakże mogą pogodzić się Niemcy — pisze Ludwig z bólem i poniżeniem, — z utratą „korytarza" polskiego?"

„Otóż właśnie, kochany Ludwig — potwierdza pan poprostu prawdziwość słów moich Pan i bracia pańscy nie jesteście narodem, jak inne. Wyobrażacie sobie zapewne, że wasz korytarz jest jedynym na świecie? Proszę przeszukać waszego doskonałego Stielera, proszę zwrócić tam uwagę na plansze p. t. „Belgja — Holandja" i znaleźć tam miejscowość, w której jestem obecnie: Zuidzande — na mapach waszych nie jest zaznaczone, ale jest tam: Oestbourg, to właśnie blisko. Jest to właśnie Flandrya zelandzka (Flandre zelandaise). Jest to korytarz. I jaki jeszcze korytarz! Korytarz polski został stworzony, by dać możność Polsce odetchnąć morzem, które istnieje dla wszystkich. Korytarz Flandryi zelandzkiej został wykombinowany po to, by przeszkodzić Belgji w kontrolowaniu rzeki, która jest jej rzeką własną Korytarz polski ma ludność z większością polską. Korytarz zelandzki zaludniony jest przez Flamandów takich samych, jak inni Flamandowie, od których odłączono ich przemocą. Korytarz polski jest pożyteczny, jeśli nie konieczny dla państwa, które go zajmuje. Korytarz zelandzki stworzony został po to jedynie, by trzymać za gardło Antwerpję i panować nad równiną flamandzką. Odcina on Gandawę od jej avant-portu, rybaków i mulników tamtejszych od ich źródeł zarobkowania. Stworzono tam barjerę niemal nie do przebycia"...

I tak jest istotnie. Korytarz ten istnieje od pokoju Westfalskiego (z przerwą od r. 1795 — 1830). I słusznie przypomniał to belgijski publicysta nahalnemu Pluparchowi, poprawiającemu swą sytuację w Niemczech i na rynku księgarskim niemieckim szczuciem i judzeniem na Polskę, podżeganiem Stalina i podrażnianiem Hitlerowców.

Aby jeszcze więcej zaimponować Niemcom zaraz potem Pluparch naszych czasów pomknął do Rzymu. I tu znowu przez prasowych „ebrejów" jak zawsze czelnie wcisnął się i do Mussoliniego. Wielkości dzisiejsze na reklamę jerychóńską są łase. Polyglotta jak i inni Kohnowie, po włosku *mowi expedite.* Między 23 marca a 4 kwietnia przyjął go *Il Duce* cztery razy po godzinie, z czego Pluparch — sznellszrajber fabrykuje zaraz całą książkę: „Rozmowy z Mussolinim". Poprostu przyjaciele... amicochon.. Równy z równym, główny z głównym. Cohn pyta: „Czy pan naprawdę sądzi że istnieją jeszcze czyste rasy w Europie jak to kolportują *(sic)* pewni uczeni?" (Nawiasem mówiąc rasowość to z ich bolączek bolączka największa ponieważ sami czystej swej rasowości strzegą jak oczka w głowie).

„Mussolini ożywił się, bowiem wyczuwa, że dzięki przesadzie pewnych faszystów bywa źle zrozumianym.

— Naturalnie, że nie istnieje żadna czysta rasa, nawet Żydzi nie zachowali swej czystości rasy. Właśnie szczęśliwemu krzyżowaniu się krwi zawdzięcza czasem naród swoją potęgę i piękno. Rasa jest to uczucie a nie rzeczywistość, 95 procent to uczucie. Nigdy nie uwierzę, że uda się mniej albo więcej wykazać biologicznie czystość jakiejkolwiek rasy. Apostołowie szlachetna rasy germańskiej nie byli — co to za przypadek komiczny — sami pochodzenia germańskiego, Gobineau był Francuzem, Chamberlain Anglikiem, Woltmann Żydem, Lapage znowu Francuzem".

Tak rzekomo miał mówić Mussolini czystej rasy, reprezentant najczystszej. (Nawiasem mówiąc Żydów w Italji na 45 miljonów jest 46 tysięcy).

...„Najlepszy dowód przeciw antysemityzmowi podchwycił na to „Judiej w kwadratie".

— Antysemityzm nie istnieje we Włoszech, — odpowiedział Mussolini. Żydzi włoscy zadokumentowali swój patrjotyzm włoski, a jako żołnierze dzielnie się bili. Znajdują się na stanowiskach wybitnych po uniwersytetach, w armji, po bankach i t. p.

Na co znów replikuje „Judiej w kwadratie":

— Zgadza się pan w tej dziedzinie ze wszystkimi wielkimi mężami historji. Bajką bowiem jest rozpowszechniona w Niemczech wersja o antysemityźmie Bismarcka lub Goethego. Zawsze, ilekroć Niemcom źle się powodzi, Żydzi są winni. A teraz specjalnie im się źle powodzi.

I oto *„wo liegt der Hund begraben"*. Na czem polegał podstępny szwindel antypatycznego bluffisty. Znając mikroskopijną cyfrę ebreacców w Italji wydobyć, wydusić od arcyfaszysty kilka frazesów prosemickich, aby budzącym się z niewoli Niemcom wykazać: oto faszysta *„di prima ora"*, twórca, wynalazca, symbol... a jak to Cohnów lubi, jak nie wierzy w *„rassizm"*.

Krótki był efekt tych szwindlarskich i oczywiście przekręcanych, naciąganych, przeciąganych *„Gespräche mit Mussolini.*

W międzyczasie już po Rzymie „żyd wieczny tułacz" - ciułacz i geszefciarz *en gros* literacki wpadł do Egiptu, miał... wywiad z królem Fuadem i napisał tam o „Nilu" *(sic)* życiorys... romans biograficzny o Nilu.

Poczem ten „pan brat" z królami i dyktatorami, wielki historjozof i psychograf znakomity a w gruncie istoty swej reportażysta wrócił do Niemiec, chwały syt i sławy. Myślał, że go będą wieńczyć laurami i żywcem wstawią do Walhalli... Choćby tylko za to, że i on pomoże odebrać Pomorze...

A tu tymczasem ze wszystkich stron słychać jak nie: *„Juda verrecke!"* to choć *„Juden raus!"*..

Der kleine Kohn Emil Ludwig nerwowo nie znosi takich trywialności. Odwaga też nie jego specjalność. A że ma węch wyrobiony i „czuje pismo nosem", więc postanowił uratować dla świata i ludzkości największego Plutarcha naszych czasów.

Współwyznawców zostawił na łasce zmiennych losów... A sam spakowawszy Lary i manaty przeniósł się do Szwajcarji i w połowie czerwca przyjął obywatelstwo szwajcarskie.

Wredny „jewrej w kwadratie". Mogłyby go dzielnie młode Makabi sprać potężnie za to nikczemne tchórzostwo.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Organ ks. Radziwiłła „Słowo" sanacyjne, więc zdawałoby się miarodajny politycznie, w artykule wstępnym p. Cata (posła Mackiewicza) usiłuje przekonać Polaków, że antagonizm między Niemcami a Polską jest niewielki i łatwo go przełamać przez pojednanie. W każdym razie jest znikomy wobec sprzeczności interesów, która dzieli Niemcy od Francji.

Z tego wynika, że Polacy powinni się względem Niemiec „rozbroić moralnie". bo Niemcy nie mają interesu na nas napadać, a gdyby oderwały Pomorze, to przez głupotę. Całkiem „bezinteresownie". Wtedy będziemy się śmieli: A to się Niemcy złapały: zamiast Alzacji zajęły Pomorze, nie mając w tem interesu!

Bardzo wesoła jest polityka radziwiłłowska, panie kochanku. Poza faktami, poza historją i psychologją. Ale czy równie bezinteresowna, jak dowcipna?

*

Ludziom się zdaje, że Sanacja łatwą ma robotę w terenie — mówił pewien działacz sanacyjny.—Weźmy taki Lwów, a w nim tylko jeden odcinek — prasę. Zdobyliśmy z trudem najbogatszy, najpoczytniejszy dziennik miejscowy. Włożyło się w niego dotąd conajmniej miljon złotych, dało się jego ludziom bezkarność, mandaty, posady, stypendja, porobiło się z nich małpy stojące na baczność. I co z tego? Wyrasta obok dziennik nowy i bez niczyjej pomocy dochodzi do wpływów. My go po łbie — w ciągu kilku lat 174 razy był konfiskowany. I co pan powie: on żyje i bardzo jest czytany, a naszego dziennika pies nie czyta, stoi wyklęty, jak zatruta studnia. Tak jest wszędzie z naszą prasą.

TREŚĆ:

Niebezpieczeństwa rozrostu *K. Bohotyńskiego.* — Potęga idei w wychowaniu *L. Jaxy Bykowskiego.* — Biografja Pułaskiego — *K. M. Morawskiego.* — Zmierzch Izraela *A. Witowskiego.* — Z życia umysłowego Śląska *W. Ogrodzińskiego.* — Z kowalskiej pustelni *St. Wyrzykowskiego.* — Na widowni *Z. Wasilewskiego* — Głosy. — Paderewski gra! *St. Niewiadomskiego.* — Nauka i literatura (O kryzysie ze stanowiska katolickiego *Simpl.* i t. d.) — Zmarli. — Ofensywa *A. Nowaczyńskiego.* — Na marginesie.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.